



**KRZYSZTOF
KOZIOŁEK**

OSTATNI ZDRAJCA

**WYBÓR RUSOFILA NA PREZYDENTA POLSKI
TO DOPIERO POCZĄTEK ARMAGEDONU**

KRZYSZTOF
KOZIOŁEK

OSTATNI ZDRAJCA

Dedykuję
Trenerom i zawodnikom
klubu judo UKS Jedynka Nowa Sól

OSOBY DRAMATU

Członkowie ruchu oporu:

Ten, zwany także **Duchem** – przywódca ruchu oporu, nikt nie wie, jak wygląda.

Podporucznik Jan Krzyk (pseudonim: Kościuszko) – 39 lat, służy w 34 Brygadzie Kawalerii Pancerniej im. Hetmana Wielkiego Koronnego Jana Zamoyskiego w Żaganiu, dowódca czołgu Leopard, zbyt często mówi to, co myśli.

Józef Bem – 65 lat, emerytowany generał Wojska Polskiego, po wybuchu powstania ma przejąć tymczasowo władzę.

Człowiek generała – łącznik między Bemem a lokalnymi komórkami ruchu oporu, jego atrybutem są okulary w rogowej oprawie.

Kapitan Tomasz Wrzos – przyjaciel Krzyka, służy w tej samej jednostce.

Hakerzy (*Anonymous Patriot*):

Leon Sokal – 20 lat, mieszka w Zielonej Górze, jest fanem miejscowego klubu żużlowego Falubaz.

Marcel Roszak – 17 lat, kilka lat mieszkał z rodzicami w Anglii, trzy lata temu wrócił do Polski.

Lena Augustyn – 17 lat, dwa lata wcześniej włamała się do szpiegowskiego systemu wojskowego, za co prawie trafiła do więzienia, jest najinteligentniejsza z całej trójki, wychowuje ją matka.

Judocy:

Stanley – klubowy trener.

Literat – powiedzieć, że się wymądrza, to nic nie powiedzieć.

Hela – on też zawsze wszystko wie najlepiej.

Dudy – jego śmiech jest wysoce zaraźliwy.

Filip – można go rozpoznać po fryzurze z dreadami.

Kizias – najbardziej opanowany z nich wszystkich.

Przedstawiciele nowej władzy:

Prezydent Marek Rabban – 37 lat, miłośnik wszystkiego, co rosyjskie i radzieckie, członek partii Jedyni Patrioci.

Premier Andrzej Kopyto – 36 lat, marionetka prezesa partii Sprawiedliwi.

Maciej Braun – minister bez teki, jego znakiem rozpoznawczym jest idealnie skrojony garnitur, człowiek prezydenta Rabbana.

Piotr Wersteler – 48 lat, komendant główny policji i jednocześnie szef wydziału do walki z terroryzmem wewnętrznym oraz specjalny pełnomocnik premiera do spraw unormowania kontaktów polsko-rosyjskich.

Major Franciszek Górecki – zastępca dowódcy, a potem dowódca 34 Brygady Kawalerii Pancerniej, traktuje jednostkę jak udzielne księstwo, kawał gnoja.

Inni:

Maria Bem – żona generała i jego wielka miłość, choruje na Alzheimera.

Ludmiła – opiekunka Marii, Bem traktuje ją jak córkę.

Obcokrajowcy:

Ronald Gomp – prezydent Stanów Zjednoczonych.

Aron Pysk – jeden z najbogatszych ludzi świata, szef doradców Gompa.

Michał Michajłowicz Spiridonow – prezydent Rosji.

Wiaczesław Młot – jeden z najbogatszych Rosjan, najbardziej zaufany człowiek Spiridonowa, przez Polaków nazywany namiestnikiem.

Hektor Gulyás – premier Węgier.

Norbert Lica – premier Słowacji.

Ustąp, a zwyciężysz.

Jigorō Kanō

Portal Y

Użytkownik: Aron Pysk

Obserwujących: 208.956.321

Post dnia

Twój dzień będzie dobry, jeśli obudzisz się ze świadomością, że tego dnia twój post wpłynie na wyniki wyborów w innej części świata. Jeśli nie, będziesz miał zły dzień.

Polubiło: 208.956.320

Podąło dalej: 105.134.694

Prolog

21 września 2025, Gościeszyn koło Wolsztyna

– Za nową przyjaźń między narodami Rosji i Polski!
– Wiaczesław Młot ruszył korpulentne ciało, zmieniając pozycję w głębokim fotelu, w którym zapadł się kilkanaście minut wcześniej. Miał 61 lat, cholesterol na poziomie Mount Everestu i był jednym z najbogatszych Rosjan, a przy tym najbardziej zaufanym człowiekiem urzędującego władcy Kremla Michała Michajłowicza Spiridonowa. Wielki portret tego ostatniego, jakiego swego czasu nie powstydziliby się sam Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili – znany bardziej jako Józef Stalin – stał oparty o ścianę przy okazałym piecu kaflowym, takim, jakich w obecnych czasach trzeba było szukać ze świecą.

Rosyjski oligarcha przytknął kieliszek do ust i wychylił go jednym haustem.

– Jeszcze nie zdążyłem go powiesić. – Pokazał wymownie na podobiznę prezydenta ojczystego kraju.
– Polejcie, towarzysze!

Premier Andrzej Kopyto spojrzał sugestywnie na towarzyszącego mu mężczyznę, który jako jedyny do tej pory ani razu się nie odezwał. Cały czas milcząc, sprawnie napełnił trzy kieliszki. Zaraz potem otworzył stojący obok pękaty słoik. Odkręcaniu wieka towarzyszyło charakterystyczne syknięcie.

– Wy, Polacy, wiecie, jak się kulturalnie pije: z zagrychą! – Młot wsadził tłuste paluchy do naczynia. Chwilę trwało, zanim udało mu się wyjąć z niego niewielki okaz kształtem przypominający banana. Wsunął go

do ust, zacisnął zęby robione na zamówienie w Londynie, pryskając dookoła kwaśnym sokiem. Nie zwrócił na to uwagi, za to znów mlasnął z wyraźnym zadowoleniem. – I wiecie, jak porządnie ukisic ogóreczki. – Za-rechotał.

Premier Kopyto poszedł w ślady gospodarza: najpierw się zaśmiał, potem opróżnił kieliszek, następnie wyjął ogóreczka i zjadł go, mlaskając równie głośno jak gospodarz. Później zerknął władczo na towarzyszącego mu mężczyznę.

Ten w milczeniu dokonał identycznego obrzędu, starając się przy tym nie krzywić, jako że nie lubił alkoholu. Wiedział jednak doskonale, że na tym spotkaniu jego zamiłowanie do abstynencji musi pozostać niezauważone, z ruskimi inaczej się po prostu nie dało. Z tą myślą zajął się nalewaniem kolejnych porcji.

– Za nowy rozdział w historii Europy! – rzucił Młot gromko, podnosząc kieliszek i wymownie czekając.

– Za nowy rozdział w historii Europy! – zawtórował premier, uderzając swoją stopką w trzymany w idealnym bezruchu kieliszek gospodarza.

Trzeci z mężczyzn nie odezwał się słowem, za to stuknął naczyniem w stopkę premiera tak mocno, że połowa wódki się wylała.

Kopyto i rosyjski oligarcha byli jednak zbyt pochłonięci sobą, by zwrócić na to uwagę.

– Za nowy rozdział w historii świata! – Młot wychylił kolejny toast, po czym odsunął kieliszek od siebie, dając w ten sposób znak, że pora na przerwę.

Widząc to, premier Kopyto odetchnął w duchu z ulgą, podobnie postąpił trzeci z mężczyzn.

– Ładne sobie gniazdko znalazłem, prawda? – rzekł gospodarz głośno.

Mężczyźni powiedli wzrokiem po ścianach i suficie. Znajdowali się w bibliotece ozdobionej sztukaterią o różnych motywach, w których dominowały akcenty roślinne i figury geometryczne. Pomieszczenie było jednym z najbardziej reprezentacyjnych w całym pałacu Kurnatowskich w Gościeszynie koło Wolsztyna, miasta leżącego na pograniczu Wielkopolski i ziemi lubuskiej. Wieś znajdowała się z daleka od głównych szlaków komunikacyjnych i z dala od reporterskich fleszy.

Budowla została wzniesiona na planie wydłużonego prostokąta z wieżami w narożnikach. Fasadę frontową ozdabiał piętrowy ganek zwieńczony krenelażem, podobnie jak wieże. Taki wygląd pałac zyskał w latach 1904-1911, podczas przebudowy dworu z XVIII stulecia. Nieco później posiadłość doczekała się też stajni i ujeżdżalni, które obecnie pełniły funkcję mieszkanio-wą. Mimo że posiadłość lata świetności miała za sobą, nadal przyciągała wzrok przejeżdżających pobliską drogą okolicznych mieszkańców i przypadkowych turystów.

Nad wejściem głównym do pałacu widniała łacińska sentencja *Ora et labora – Módl się i pracuj*. Teraz jednak nie modlono się tutaj, postronny obserwator mógłby też dodać, że również nie pracowano – w tym aspekcie byłby jednak w błędzie. Towarzyskie spotkanie, na jakie Młot zaprosił polskiego premiera i towarzyszącego mu mężczyznę, nie było niczym innym, jak nieformalnym posiedzeniem czegoś na kształt dwuosobowej rady regencyjnej, ciała, o którym wiedziało niewiele, a które

tak naprawdę podejmowało kluczowe decyzje dotyczące polityki wewnętrznej i zagranicznej Rzeczypospolitej Polskiej. Przy czym wiodący głos we wszelkiego rodzaju różnicach zdań miał Wiaczesław Młot.

– Bardzo ładne. – Kopyto pośpieszył z zapewnieniem.
– Piękne. Świetny wybór.

– Na razie zdążyłem przywieźć kilka mebelków i jeden skromny obraz. – Młot podniósł się z fotela, podszedł do ramy opartej o ścianę przeciwległą do tej, na której wspierała się podobizna Michała Michajłowicza Spiridonowa. Obrócił ją tak, żeby goście mogli przyjrzeć się malowidłu.

Trzeci z mężczyzn, widząc *Grających w karty* Paula Cézanne'a aż jęknął. Jak można było coś takiego trzymać w pałacu strzeżonym na co dzień przez paru kiepsko uzbrojonych ludzi? Przecież to aż się prosiło o kradzież! Nagle się zreflektował – tak byłoby jeszcze kilka tygodni wcześniej, teraz nikt o zdrowych zmysłach nie odważyłby się okradać najpotężniejszego człowieka w kraju.

– Arcydzieło... – Premier Kopyto trzy dni wcześniej skończył 36 lat, miał żonę-celebrytkę zajmującą się projektowaniem odzieży sportowej, trójkę dzieci, dwa psy i nie tylko nie znał się na malarstwie postimpresjonistycznym, ale w ogóle nie miał pojęcia o kulturze wysokiej. Zwykł zresztą chwalić się, że w trakcie ukończonych z trudem studiów politologicznych przeczytał tylko dwie książki, z czego jedną była powieść erotyczna. Bycie na bakier z kulturą nie było jednak żadną przeszkodą na drodze do tego, aby wyrazić swój podziw.
– Ile kosztowało? – Doskonale znał kwotę z przekazów medialnych, ale uznał, że to dobra okazja, aby kolejny

raz przypochlebić się rosyjskiemu dygnitarzowi. Bądź co bądź to w dużej mierze od niego zależało to, jak długo utrzyma się w fotelu prezesa rady ministrów.

– Prawie dwieście siedemdziesiąt milionów dolarów...
– Młot ziewnął.

– Mają rozmach, skurwysyny... – mruknął pod nosem ten, który do tej pory siedział bez słowa na fotelu stojącym najdalej od stołu, w narożniku biblioteki, tuż obok potężnej donicy z rozłożystym rododendronem.

– Co takiego? – Mało brakowało, a premier spiorunowałby kompana wzrokiem. Mimowolnie spojrział na gospodarza, próbując poznać, czy do jego uszu doleciała impertynencka uwaga.

– Pałac jest piękny, ma też bogatą historię. – To było pierwsze pełne zdanie, jakim Piotr Wersteler odezwał się, odkąd kwadrans temu z okładem przekroczył próg gabinetu razem z premierem – nie licząc cichej uwagi sprzed chwili, jaka wymysknęła mu się z ust. Wersteler przez ostatnie tygodnie piął się po szczeblach rządowej kariery niemal tak szybko, jak wcześniej siedzący obok niego premier – który niedawno powołał go na stanowisko komendanta głównego policji. – Ale najlepsze lata ma już chyba za sobą... – dodał ostrożnie. – Co nie zmienia faktu, że towarzysz Młot ma świetny gust – zastrzegł na wszelki wypadek. Aby nie dać ruskowi czasu, by ocenił jego wcześniejsze spostrzeżenie jako afront, szybko napełnił kieliszki, jeden podał gospodarzowi.

– Najlepsze lata to miejsce ma dopiero przed sobą!
– Oligarcha łąpczywie wychylił zawartość.

Obaj rozmówcy poszli w jego ślady.

– Planuję mały remont – wyjaśnił Młot, odkładając kieliszek.

Polacy spojrzeli na niego pytająco.

– Mam już pierwsze ostrożne szacunki na temat kosztów... – Rosjanin opuścił powieki. Wyglądał teraz tak, jakby zamierzał się zdrzemnąć. – Trzeba będzie wpompować w to miejsce kilka milionów – mówił z zamkniętymi oczami.

– Złoty? – spytał Kopyto przymilnie.

– Dolarów! – Młot nadal wyglądał tak, jakby spał.

– Tylko kilka? – rzucił Wersteler. – Znając rozmach naszego rosyjskiego przyjaciela, kilka milionów może w ostatecznym rozrachunku nie wystarczyć... – Nagle zrobił pauzę, zdawszy sobie sprawę z tego, że być może przesadził z zażyłością.

Kiedy oligarcha otworzył oczy, obaj Polacy zamarli. Premier spojrzął na komendanta z wyrzutem, zastanawiając się, co się zaraz wydarzy. Młot znany był nie tylko z zamiłowania do pięknych kobiet, drogich obrazów i rzek alkoholu, ale też porywczego temperamentu. W korytarzach kancelarii prezesa rady ministrów szep-tano, że kilka dni przed wkroczeniem wojsk rosyjskich do Polski zastrzelił dwie osoby, a trzy ciężko ranił tylko dlatego, że auto, którym jechali, uderzyło w jedną z jego pancernych wołg wykonanych na indywidualne zamówienie.

– Macie rację, towarzyszu... – Rosjanin zmarszczył brwi. – Jak wy się, do cholery, nazywacie?

– Wersteler – pośpieszył premier z odpowiedzią. – To-warzysz Wersteler pełni funkcję komendanta głównego policji.

– Tak... Wersteler... – Oligarcha zakaszłał. – Oczywiście, że pamiętam... Bardzo cię polubiłem, chłopie. – Obdarzył Polaka przyjaznym uśmiechem. – Masz absolutną rację: kilka milionów może nie wystarczyć. Ale kto bogatemu zabroni? – Zaśmiał się gardłowo.

Obaj Polacy mu zawtórowali, dużo bardziej naturalnie wypadł komendant główny policji.

– Towarzyszu Młot, jeśli mogę spytać... – Tak, jak Wersteler wcześniej milczał, tak teraz nie mógł utrzymać języka za zębami. – Towarzysz mógł sobie wybrać inną, o wiele bardziej okazałą posiadłość w naszym kraju. Lubiąż... Książ... Zamek Królewski... Dlaczego akurat pałac Kurnatowskich?

Premier spojrzał na swojego zaufanego człowieka, zachodząc w głowę, do czego ten zmierza. Musiał przecież wiedzieć, że Młot otrzymał tę posiadłość na osobiste życzenie – jako dar od narodu polskiego. Wcześniej należała do prywatnej osoby i została błyskawicznie znacjonalizowana na mocy ustawy o specjalnych potrzebach Skarbu Państwa, przyjętej równie szybko. Pewien złośliwy dziennikarz nazwał ją ustawą o specjalnych potrzebach złodziei, ale tego samego dnia – po interwencji ministra skarbu państwa – został zwolniony z pracy. Sprawę od razu nagłośniły służby prasowe i nikt więcej się na takie złośliwości nie odważył. Chętnych nie było tym bardziej, że wywalonemu na bruk żurnaliście wystawiono jednocześnie wilczy bilet. Nieszczęśnik nie miał szans nie tylko na angaż w innych mediach rządowych, ale nawet w tych, w których tliły się jeszcze resztki niezależności. Nikt o zdrowych zmysłach nie zatrudniłby kogoś, kto tak bardzo podpadł premierowi, którego jedno

słowo na radzie ministrów wystarczało, by ta czy inna spółka prawa handlowego zostawała wchłonięta przez spółkę skarbu państwa, zresztą dotyczyło to nie tylko przedsiębiorstw związanych z rynkiem medialnym.

– Lubię rzeczy nieoczywiste... – odrzekł Młot filozoficznym tonem. – Za rok to miejsce zmieni się nie do poznania... – Rozmarzył się. – Bardzo możliwe, że zaproszę Michała Michajłowicza... – Z premedytacją nie użył nazwiska prezydenta, aby w ten sposób uzmysłowić polaczkom zażyłość, jaka łączyła go z władcą Kremla.

– Towarzyszu, gdybyś znał losy tego miejsca, niekoniecznie chciałbyś w nim podejmować Spiridonowa – rzucił Wersteler w myślach. Spojrzał na premiera, zastanawiając się, czy ten zna historię stojącego opodal pałacu kościoła, w którym podobno spoczywało ciało Krzysztofa Jana Żegockiego. Nie zamierzał ani jemu, ani rosyjskiemu oligarsze dawać teraz lekcji. Mogłoby się to okazać niebezpieczne, jako że trudno było przewidzieć, jak Młot odebrałby taki wykład. Jeśli uznałby, że to zawołowany przytyk ze strony Werstelera, mogłoby to oznaczać koniec jego dobrze zapowiadającej się kariery w polskiej policji i polityce. Owszem, na obejmowane obecnie stanowisko desygnował go premier, ale on sam doskonale wiedział, kto tu rozdaje karty.

– Towarzyszu!... – Młot zerwał się z fotela, zaraz potem chwycił premiera w objęcia. – Andrzej!... Z całego serca dziękuję za ten skromny podarunek!...

Kopyto odwzajemnił czułości, kryjąc przy tym zaskoczenie nieoczekiwanym wybuchem wylewności gospodarza.

– Towarzysze! – Rosjanin wstał, poprawił koszulę, która zdążyła wysunąć się ze spodni. – Już teraz czujcie się zaproszeni!

Wersteler wyчуł, że to właściwy moment, napełnił kieliszki.

– Wypijmy za zdrowie prawdziwych polskich patriotów! – Młot wznosił toast.

Wypili wódkę w milczeniu, zagryzając ogóreczkami – jako pierwszy zagrychy skosztował gospodarz, po czym wrócił na wygodne miejsce w fotelu.

– Towarzysza Werstelera nie znam zbyt dobrze...
– Spojrzał na policjanta. – Jakoś nie miałem okazji...
– Łypnął okiem podejrzliwie.

– To jeden z moich najlepszych ludzi – rzucił premier, żywo gestykułując rękoma. – Robi świetną robotę. Jego ostre i zdecydowane działania przeciwko opozycji są pełne podziwu. – Zaczął opowiadać, mówił przez kilka minut, ani przez moment nie tracąc wątku.

– Właśnie takich ludzi nam dzisiaj potrzeba! – pochwalił Młot, gdy Polak skończył opowieść. – Towarzyszu Wersteler... – Podniósł kieliszek, który komendant główny policji napełnił usłużnie chwilę temu. – Piotrze... Mogę się do ciebie tak zwracać?

Wersteler potaknął gwałtownie, nie kryjąc dumy.

– Jak powiedział twój szef – oligarcha spojrział na premiera – świetna robota!

– Powiem szczerze: innego wyjścia nie miałem, jeśli chcę osiągnąć postawiony przed sobą cel. – Wersteler rósł w oczach. – To znaczy cel postawiony przede mną przez pana premiera – poprawił się momentalnie.

21 września 2025, Gościeszyn

W tym czasie, gdy Wiaczesław Młot, premier Kopyto i komendant główny policji wlewali w siebie kolejne porcje wódki, życie za ogrodzeniem otaczającym pałacowe włości toczyło się swoim zwykłym powolnym tempem. Sam mur ozdobiony był krenelażem, nie licząc głównego wjazdu, po którego stronach rozciągała się dorycka kolumnada. Na terenie posiadłości, oprócz neogotyckiego pałacu i rozległego parku, znajdowało się też kilka innych zabudowań, w tym dawna stajnia i ujeżdżalnia. Te ostatnie za sprawą kolumn, empor oraz innych zdobień bardziej przypominały greckie świątynie.

Niemal tuż za ogrodzeniem stał późnobarokowy kościół św. Stanisława Biskupa wzniesiony w 1778 roku, a w latach 1914-1916 rozbudowany przez rodzinę Kurnatowskich. Świątynia mieściła kryptę grobową tego rodu.

Asfaltowa droga wiodąca wzdłuż płotu i terenu kościelnego była tak wyprofilowana, że mało kto decydował się na jazdę powyżej obowiązującego na tym odcinku ograniczenia prędkości do 30 km/h, ryzykując wyrzucenie na przeciwległy pas.

Na podmurówce okazałego ogrodzenia między pałacem a kościołem siedziało troje młodych ludzi, trudno było ocenić ich wiek, w każdym razie można było przyjąć, że gdyby któreś z nich chciało kupić w sklepie alkohol, papierosy czy choćby energetyki, musiałyby się najpierw wylegitymować dowodem osobistym.

Wszyscy mieli nasunięte na czoło czapki z daszkiem i byli wpatrzeni w ekrany smartfonów. Wyglądali tak, jakby świat wokół zupełnie dla nich nie istniał.

Niespodziewanie jeden z chłopaków podniósł wzrok, zaraz potem zaśmiał się głośno.

– Kura! – Marcel Roszak miał na sobie krótkie spodenki i t-shirt z napisem *POV*. – Zobaczcie! – Szturchnął ręką siedzącego po lewej stronie chłopaka. – Patrz! – Emocjonował się coraz bardziej. – Kura! – Podniósł smartfon, zaczął nagrywać.

– Kury nie widziałeś? – Leon Sokal zareagował nerwowo, jak to miał w zwyczaju, gdy ktoś przekraczał jego sferę intymną bez zezwolenia. – Na wsi nie byłeś? – Miał dwadzieścia lat i był z tej trójki najstarszy, chociaż ledwie widoczny zarost pod nosem jakby temu przeczył.

– Pies ją goni. – Lena Augustyn zaśmiała się głośno na widok kundla biegnącego za trzepoczącą skrzydłami kurą. Dziewczyna była obcięta krótko na jeża, a nos i oboje uszu zdobiło kilkanaście kolczyków. – Będzie rosół.

– Moja babcia opowiadała mi kiedyś, jak co sobotę wieczorem zabijała kurę na niedzielny obiad – rzekł Leon Sokal poważnym tonem. – Łapała za skrzydła... – Ruchem prawej dłoni zaprezentował wyimaginowany chwyt. – A potem ciach siekierą! – Drugą ręką wykonał gwałtowny ruch.

Marcel Roszak przyglądał się temu pokazowi z uwagą, za to Lena Augustyn z powrotem zapatrzyła się w ekran smartfona.

– A wiecie, że taka kura, jak się wyrwała z rąk, potrafiła biegać jeszcze po podwórku przez kilka minut?

– spytał Leon Sokal, poprawiając czapkę w żółto-biało-zielonych kolorach, barwach klubu żużlowego Falubaz Zielona Góra.

– Że niby bez głowy? – Marcel Roszak nie dowierzał.

– Bez głowy – potwierdził Leon Sokal skwapliwie.

– Nie wierzysz, to zobacz. – Lena Augustyn podsunęła telefon pod twarz kolegi, włączyła odtwarzanie.

Przez jakąś minutę wszyscy troje patrzyli na nagranie, na którym trzepocząca skrzydłami kura bez głowy biegła po obejściu, objijając się przy tym o ściany budynków i ochlapując je krwią tryskającą z szyi.

– Zajebiste – rzekł Marcel Roszak z nieklamany podziwem. – Jakbym oglądał horror.

– Ja pierdołę!... – Lena Augustyn zaklęła głośno, wpatrując się w ekran smartfona. – Kurczak żył bez głowy przez półtora roku!

– Pokaż! – Leon Sokal zajrzał koleżance przez ramię.

– Rzeczywiście! – rzucił z uznaniem. – Nawet miał imię – zauważył. – Mike...

– Dać kurczakowi bez głowy imię... – Marcel Roszak parsknął śmiechem. – Tak potrafią tylko Amerykanie.

– Chłopaki. – Ton głosu Leny Augustyn zabrzmiał poważnie, choć ona sama miała wzrok wciąż wbity w smartfon. – Jeszcze kwadrans.

– To zdążę dokończyć gierkę – rzucił Marcel Roszak.

– Znasz życie poza graniem? – Leon Sokal szturchnął kolegę w ramię. – Patrz. – Pokazał dłonią na pobliski kościół.

– Chcesz iść się pomodlić? – wypalił Marcel Roszak.

– Widzisz tamtą płytę na ścianie? – Leon Sokal zignorował uwagę.

– Ja widzę. – Lena Augustyn włączyła się w wymianę zdań.

– To nagrobek Krzysztofa Jana Żegockiego – rzekł Leon Sokal.

– Widzisz tak z daleka? – spytał Marcel Roszak.

– Nie widzę – odparł spokojnie. – Ale mam dobrą pamięć. I tak, znam ziomala.

– Osobiście? – dziwił się dalej.

W odpowiedzi pozostała dwójka się zaśmiała.

– Tak, osobiście znam ziomala, który walnął w kalendarz kilka stuleci temu. – Leon Sokal wciąż krztusił się ze śmiechu. – Myślisz trochę czy tylko udajesz?

Marcel Roszak odwrócił się plecami, obrażony.

– Co z tym ziomalem? – spytał po chwili. Ciekawość zwyciężyła.

– To była jakaś wielka szycha w tamtych czasach.

– Lena Augustyn jednocześnie czytała artykuł wyświetlany na ekranie smartfona i streszczała jego treść.

– W czasie potopu szwedzkiego stosował wobec obcych wojsk wojnę podjazdową.

– Jaką wojnę? – Marcel Roszak zmarszczył brwi.

– Partyzancką – odparł Leon Sokal. – Kumasz?

– Jasne, że kumam – obruszył się. – Lubię filmy wojenne.

– Dlatego ziomala nazywają pierwszym partyzantem Rzeczypospolitej – rozwodziła się dalej Lena Augustyn.

– Sigma! – rzucił Marcel Roszak, po czym wrócił do wcześniejszego zajęcia. – Nie uwierzycie! – wrzasnął po chwili. – Dopiero wrzuciłem filmik na TakTaka, a już mam dwa tysiące serduszek!

– Co wrzuciłeś? – Leon Sokal obdarzył kolegę bacz-
nym spojrzeniem.

– Kurę – odparł, cały czas wpatrując się w ekran.

– Wrzuciłeś stąd rolkę?! – Nie mógł uwierzyć. – Co za debil!

– Debil? – Dopiero teraz Marcel Roszak podniósł wzrok. – Sam jesteś debil!

– Zapomniałeś, po co tu jesteśmy? – Leon Sokal mówił cicho, prawie nie było go słychać. – Mam ci przypomnieć?

– Przecież to dziura zabita dechami – zaoponował.

– Nikt nas tu nie znajdzie...

– Zamknijcie się obaj. – Lena Augustyn weszła kole-
dze w zdanie. – Znowu jedzie...

Żaden z pozostałych chłopaków nie podniósł wzroku, wręcz przeciwnie, wbili go w smartfony, udając pochłoniętych światem wirtualnym. Nie musieli patrzeć, doskonale wiedzieli, przed czym przestrzegą ich kumpela – chodziło o czarnego busa z przyciemnianymi szybami na warszawskich numerach rejestracyjnych, który co kilka minut jeździł w tę i z powrotem, zwalniając do przepisowej prędkości na zakręcie, przy którym siedzieli.

– Zniknął – rzekł Marcel Roszak. – Alarm odwołany.

– Nie – zaprotestował Leon Sokal. – Leci... Słyszycie?

Nie odpowiedzieli, wsłuchiwali się w charakterystyczny dźwięk, jakby wysoko nad głowami pojawiło teraz stado os.

– Udajemy, że gramy – szepnęła Lena Augustyn.

– Dwa razy nie trzeba mi powtarzać. – Marcel Roszak wytarł nos w rękaw koszulki, zajął się smartfonem.

Wszyscy troje byli tak pochłonięci graniem, że nie zauważyli, jak obok nich pojawiła się nieznajoma kobieta.

– Skaranie boskie z tą dzisiejszą młodzieżą! – rzekła, a jej głos przypominał bardziej tarcie paznokciami po metalowej blasze. – Nic tylko te smartfony!

Jako pierwszy głowę podniósł Leon Sokal. Najpierw ostrożnie zlustrował niebo nad głową – upewniając się, że drona już nie ma – potem spojrzał na nieznajomą. Twarz, poorana niezliczoną liczbą głębokich zmarszczek, owinięta była w chustę.

– Proszę pani, my tylko czekamy na kolegę – skłamał szybko.

– Na kolegę czekają... – Kobieta podniosła laskę, wykonała nią ruch, jakby chciała nią uderzyć.

Gest był tak sugestywny, że znajdujący się najbliżej staruszki Marcel Roszak instynktownie się skulił.

– Nic, tylko te diabelskie internety! – perorowała nadal. – Wyglądacie z tymi telefonami jak obraz nędzy i rozpacz.

Młodzi byli tak zaskoczeni atakiem, że nie wiedzieli, jak zareagować.

– W waszym wieku biegałam z granatami w powstaniu... – Ekscytowała się dalej.

– Warszawskim? – wypalił Leon Sokal bez zastanowienia.

– A jakim? – Znów podniosła laskę. – Przecież nie listopadowym! – Zaczęła nią machać na wszystkie strony.

– To pani musi mieć ze sto lat... – rzucił Marcel Roszak z autentycznym podziwem w głosie.

– Jakie sto! – obruszyła się. – Dziewięćdziesiąt, smrodzie jeden! – Pacnęła chłopaka laską w udo. – Nie wymądrzaj mi się tutaj jeden z drugim. – Tym razem uderzyła pozostałą dwójkę. – A wy co robicie? – Nagle się uspokoiła, laskę postawiła na ziemi, oparła się o nią.

Przez chwilę głośno łapała powietrze i młodzi zaczęli się bać, że staruszce coś się stało. W końcu jednak odzyskała mowę.

– Zamiast walczyć z najeźdźcą, gracie w te swoje internety – powiedziała smutno. Nagle obejrzała się dookoła, bacznie lustrując wzrokiem otoczenie. – Powinniście bić bolszewików!

Leon Sokal spojrział na kolegę, potem na koleżankę, jakby w ten sposób chciał sprawić, by któreś z nich zareagowało na słowną zaczepkę. Koniec końców nie odezwało się żadne.

– Wiecie chociaż, gdzie jesteście? – spytała staruszka.

– W Gościeszynie – odparł Marcel Roszak bez zbędnej zwłoki.

Kobieta pokiwała głową, a na jej ustach otoczonych zmarszczkami pojawił się drwiący uśmiech.

– Pytam was o miejsce pamięci. – Pokazała laską na przestrzeń za ich plecami.

Jak jeden mąż zerknęli za siebie – na tablicę pamiątkową osadzoną na ogrodzeniu z krenelażem.

– Lepiej byście znicz zapalili – mruknęła. – Czorty, a nie młodzież.

Jakby jej nie słyszeli, wpatrywali się w niewielki obelisk. Było widać, że są zaskoczeni, przejęci tym, że wcześniej nie zwrócili na to miejsce uwagi, choć siedzieli właściwie na wyciągnięcie ręki.

Leon Sokal odchrząknął, jakby szykował się do występu na szkolnej akademii, potem zaczął czytać:

– W czasach pruskiej niewoli Gościeszyn wraz z okolicą stanowił bastion polskiego życia narodowego...

– Zrobił pauzę, patrząc na twarze pozostałych.

Ci słuchali w pełnym skupieniu.

– W mrocznych latach drugiej wojny światowej dał przykład umiłowania ojczyzny i doświadczył szczególnej nienawiści ze strony hitlerowskiego najeźdźcy

– deklamował dalej. Od salw egzekucyjnych, pod gilotyną w obozach i więzieniach zginęli... – Wstrzymał głos.

– Przeczytaj... – szepnęła Lena Augustyn przejęta.

Leon Sokal zaczął wymieniać kolejne imiona i nazwiska wygrawerowane na monumencie.

– Cześć ich pamięci... – skończył po dłuższej chwili.

– Sześćdziesiąt nazwisk... – W głosie Leny Augustyn nadal było słycać powagę.

– Policzyłaś? – zdziwił się Marcel Roszak.

– Policzyłam – potwierdziła cicho. – W tym dziesięciu żołnierzy poległych na polu walki.

Wszyscy troje spojrzeli po sobie. Żadne z nich już się nie śmiało, nie żartowało. Byli śmiertelnie poważni.

Lena Augustyn odwróciła głowę, otarła dłonią policzki, nie chciała, by koledzy widzieli, że się wzruszyła. Niepotrzebnie, oni też mieli łzy w oczach.

– Nie ma jej – rzekł Marcel Roszak po chwili milczenia.

– Kogo nie ma? – zainteresował się Leon Sokal.

– Staruszki – wyjaśnił. – Zniknęła.

– Pewnie poszła do kościoła na mszę – zauważyła Lena Augustyn. – Dochodzi szósta. – Kiedy wypowia-

dała te słowa, kościelna wieża rozbrzmiała jednym głuchym uderzeniem zegara sygnalizującego wybicie pełnej godziny. – Już czas.

Rozdział 2

21 września 2025, Gościeszyn

– Jakiego pana? – wybełkotał Kopyto. – Andrzej jestem! – seplenił. – Dla przyjaciół: *Andrew!* – Podskoczył jak oparzony, tym razem to on rzucił się w objęcia drugiemu z Polaków.

Oligarcha dołączył się, choć nie od razu, potrzebował dłuższej chwili, by wygramolić się z fotela. Nie dość, że opasłe cielsko było przeszkodą, to nie pomagał też fakt, iż miał już nieźle w czubie, podobnie jak premier.

Za to Wersteler był z nich wszystkich najbardziej trzeźwy.

– Piotrze, polewaj! – Kiedy Młot to mówił, jego podwójny podbródek zatrzęsł się jak galareta.

Komendant główny policji nie miał wyjścia, musiał pełnić honory. Obrócił się, aby pustą butelkę zdjąć ze stołu i postawić na niej nową, ale mało brakowało, aby tę pierwszą rozbił o donicę z rododendronem. Zlustrował uważnie liście, a widząc, że są mocno zakurzone, stwierdził w myślach, że przydałoby się tutaj porządne sprzątnięcie.

Rozlał następną kolejkę, podał kieliszki kompanom. Gdy ci wychylali zawartość, on sam – bacząc, by żaden z pozostałych go nie przyłapał – wylał wódkę do ziemi, podobnie jak wcześniej postąpił z większością porcji.

– Uschnie, jak nic... – zafrasował się w myślach, patrząc na okazałą roślinę.

Nieoczekiwanie równie zatroskany wyraz twarzy przyjął oligarcha.

– Andrzej... *Andrew*... – rzekł cicho. – Tak się zacząłem zastanawiać...

– Nad czym, towarzyszu Młot? – Premier podłapał w lot.

– Przecież przeszliśmy na ty, prawda? – Rosjanin walnął pięścią w oparcie fotela, aż podniósł się kurz.

– Nad czym się zastanawiasz, Wiaczesławie? – Kopyto natychmiast się poprawił.

– Czy aby przypadkiem nikt was nie widział, jak zajeżdżaliście do pałacu? – W głosie Młota dało się słyszeć niepokój.

Premier od razu postanowił zareagować.

– Wiaczesławie drogi, przyjechałem tu praktycznie bez obstawy, tylko z jedną ekipą osłaniającą – wyjaśnił Kopyto. – Chłopcy mają ze sobą trochę elektroniki i dwa drony, ale poza tym nie rzucają się w oczy.

Oligarcha spojrział na Werstelera.

– Ja przyjechałem z Warszawy prywatnym autem – tłumaczył komendant policji. – Zostawiłem je na parkingu przy kościele. Nikt nie zwróci na niego uwagi.

– Wiecie, jak bardzo zależy mi na tym, aby nikt niepowołany się o tym spotkaniu nie dowiedział? – pytał dalej Młot.

Polacy potaknęli zgodnie.

– Lubię działać z tylnego siedzenia, bez niepotrzebnego ujawniania się – perorował gospodarz. – Taki system

w Rosji sprawdza się najlepiej – zauważył. – Wiecie?...
Rozumiecie?...

Tym razem premier zareagował nieco szybciej od komendanta.

– Polejcie! – Młot sięgnął po ogórka, zjadł go, mlaskając głośno.

W tym czasie Wersteler kolejny raz napełnił kieliszki. Pustą butelkę – pomny wcześniejszej niezdarności – włożył do donicy, tam była bezpieczna.

– Tak, jak prosiłeś, porozmawiałem z prezydentem...
– Młot patrzył na premiera. – Ponieważ na kierunku ukraińskim sytuacja klaruje się coraz lepiej... Można powiedzieć, że to wielka zasługa nie tylko błyskotliwego umysłu mojego pryncypała Michała Michajłowicza, ale też trochę tego debila zza oceanu... – Zaczął się głośno śmiać, chwilę później śmiech przeszedł w kaszel. – W każdym razie podeślemy wam te dwa obiecane bataliony.

– To świetna wiadomość! – Mało brakowało, a Kopyto zaklaskałby z radości.

Wersteler zmusił się do uśmiechu.

– Poza tym wszystko w porządku? – spytał oligarcha nagle.

– Tak, wszystko jest w porządku – zapewnił premier solennie.

– Obywatele teraz jacy? – pytał dalej.

– Mieszani.

– Ale jest trochę elementu?

– Ale mieszeni – odparł Kopyto.

Nagle Młot wbił spojrzenie w komendanta policji i fotel, w którym ten chwilę wcześniej wygodnie się rozsiadł, nalawszy wódki do kieliszków.

– Co to? Wy książki czytacie? – zaciekał się oligarcha.

Wersteler wyciągnął nieduży notatnik na spirali wciśnięty między niego i oparcie.

– To informacje o najgroźniejszych przestępcach – wyjaśnił skwapliwie.

– To ciekawe – rzekł gospodarz.

– No – potwierdził Polak krótko.

– Ja lubię poczytać takie życiowe książki. – Młot się zamyslił. – Będzie pełna, przyjadę, poczytam, zobaczymy. Będzie w porządku, będę pamiętał. Będę pamiętał, będzie dobrze. – Wtem zrobił pauzę. – Będziemy kręcić, nie będzie dobrze. Rozumiemy się?

Wersteler potaknął gwałtownie.

– Jak się będziemy rozumieć, będzie dobrze. – Rosjanin popatrzył prosto w oczy premierowi. – Nie będziemy się rozumieć... Rozumiemy się?!

– Rozumiemy się! – krzyknęli obaj Polacy jednym głosem.

– I tak ma być! – Młot zaklaskał głośno. – Za przyjaźń między narodami Rosji i Polski! – Sięgnął po kieliszek.

Tym razem Wersteler wypił swoją porcję i nie zrobił tego bynajmniej dla dobra rododendronu, ale dla własnego bezpieczeństwa, wolał nie kusić losu. Świat polityki nie lubił tych, którzy nie lubili alkoholu. Odłożył kieliszek, złapał pustą butelką stojącą na stole, w drugą dłoń chwycił tę z doniczki.

– Pójdę uzupełnić zapasy. – Nie czekając na pozwolenie, skierował się do drzwi.

Wyszedł z biblioteki na korytarz, chwilę później minął kręte drewniane schody ozdobione rzeźbą lwa trzymają-

cego przed sobą kartusz. Dotarł do dwukondygnacyjnej sali balowej, zobaczył drewniane skrzynie – najprawdopodobniej wypełnione meblami przywiezionymi przez Młota z Rosji – kilka mniejszych kontenerów – z opisu cyrylicą można było wyczytać, że zawierały ubrania – a także parę skrzynek wódki – polskiej i to był chyba jedyny lokalny akcent w tym przestronnym pomieszczeniu.

Wziął dwie butelki – uznał, że więcej nie potrzeba, szacował, że zarówno rusek, jak i premier lada moment przekroczą granicę, za którą każdy mężczyzna robi się łagodny jak baranek i dobrowolnie kładzie się spać, choćby leżał na lodowatej posadzce. Wrócił do biblioteki tą samą drogą, uważnie się przy tym rozglądając i rejestrując mnóstwo detali, tak, jak nauczył się tego przez lata służby w formacjach mundurowych.

Kiedy wszedł do reprezentacyjnego pomieszczenia, na jego twarzy z powrotem pojawił się przyjazny uśmiech. Wiedział doskonale, że zarówno ta wizyta u namiestnika – jak w kancelarii prezesa rady ministrów nazywano Młota – jak i praca u boku Kopyty, to okazja do popchania kariery, jakiej nie wolno mu było przegapić.

Realizował plan krok po kroku, powoli, ostrożnie – może momentami nawet do przesady – ale nie odpuszczał ani na chwilę. Zdawał sobie sprawę z tego, że tylko taka taktyka pozwoli osiągnąć postawiony przed sobą cel. Wielu zarzucało mu kunktatorstwo i wspinać się po szczeblach błyskawicznej kariery po trupach, ale nie zwracał na to uwagi. Czasy były niezwykłe i takich samych wymagały czynów.

Usiadł w fotelu, zaczął przysłuchiwać się wymianie zdań.

– W przyszłym tygodniu dekretem wprowadzam do szkół nowy przedmiot – rzekł premier cicho.

– Jaki? – Trudno było wyczuć, czy Młot jest faktycznie zainteresowany, czy tylko takiego udaje, by dopełnić kurtuazji.

– Wychowanie patriotyczne – odpowiedział Kopyto.

Rosjanin momentalnie się ożywił.

– Od razu przygotujemy też stosowne przepisy dyscyplinujące nauczycieli i dyrektorów szkół oraz rodziców

– wyjaśnił premier.

– Aby nikomu nie przyszło czasem do głowy protestować przeciwko nowemu przedmiotowi – dopowiedział Wersteler.

– Szacujemy, że już po roku nauczania nowego przedmiotu wskaźnik poparcia rządu wśród najmłodszej grupy wiekowej wyborców wzrośnie o dwanaście do osiemnastu punktów procentowych. – Kiedy Kopyto to mówił, aż jaśniał z zadowolenia. – A i tak już jest historycznie wysoki!

– I to jest bardzo dobry pomysł, towarzyszu Andrzeju, bardzo dobry! – Oligarcha zerwał się z fotela. – Dawaj pyska!

Wersteler przyglądał się wymianie „misiów” z radością wypisaną na twarzy. Zanim którykolwiek z pozostałych mężczyzn zdążył go o to poprosić, napełnił kieliszki. Sprawnie chwycił dwa z nich, podał je Młotowi i Kopycie. Dopiero potem wziął do ręki swoją stopkę. Spojrzał na premiera, później na rosyjskiego oligarchę, po czym krzyknął:

– Za przyjaźń między narodami Rosji i Polski!
Kiedy Młot i Kopyto pili wódkę, on swoją porcją kolejny raz podlał biedną roślinę.

Rozdział 3

21 września 2025, Gościeszyn

Leon Sokal wpatrywał się w zamknięte boczne drzwi do kościoła z takim wyczekiwaniem, jakby chwilę wcześniej zniknęła w nich ukochana osoba.

– Mogliśmy tej babci powiedzieć prawdę – rzucił po chwili niepocieszony.

Lena Augustyn położyła koledze dłoń na ramieniu. Poczekwała, aż ten odwróci się do niej, dopiero wtedy się odezwała:

– Nie mogliśmy.

– Dlaczego nie? – Marcel Roszak postanowił podzielić się swoim zdaniem. – Wyszliśmy przed nią na azbest.

– Przecież staruszka nawet nie wie, co to słowo znaczy – zauważyła Lena Augustyn. – Mam na myśli nasze znaczenie, a nie znaczenie boomerskie.

– I tak mi głupio. – Marcel Roszak nie dawał za wygraną.

– Chłopaki, nie możemy zdradzać, co tu robimy! – tłumaczyła Lena Augustyn dalej.

– Tej staruszce? – Leon Sokal parsknął śmiechem.

– A kim ona jest? Ruskim szpiegiem pod przykrywką?
– Zarechotał.

– Zdziwiłbyś się. – Lena Augustyn wbiła spojrzenie w kolegę. – Dzisiaj każdy może się okazać ruskim

szpiegiem. Nawet ty. – Pokazała palcem na niego. – I ty.
– Przesunęła dłoń w kierunku Marcela Roszaka.

– A ty nie? – zakpił ten ostatni.

– Ja też – rzekła cicho.

Zapadła cisza. Przerwała ją dopiero Lena Augustyn.

– Spójrzcie na to z innej perspektywy – zaczęła tłumaczyć. – Skoro staruszka tak nas potraktowała, to znaczy, że mamy świetny kamuflaż. *Big brain* z tymi smartfonami.

– Przypominam, że to był mój pomysł – wtrącił Leon Sokal.

– Twój? – Lena Augustyn skrzywiła się, jakby polizała plasterek cytryny. – Chyba mój!

– Nieważne czyj, ważne, że dobry – rzucił Marcel Roszak przesadnie poważnym głosem. – Powinniście bić bolszewików... – Wtem zaczął naśladować głos staruszki. – Czorty, a nie młodzież...

Pozostali dwoje zaśmiali się głośno, potem dali mu kilka przyjacielskich kuksańców. Przekomarzanie chwilę trwało, jako pierwszy opanował się Leon Sokal.

– Busa nie ma – zauważył. – Drona też. Możemy iść.

Reszta, nie czekając na ponaglenie, ruszyła w stronę zakrętu. Niedługo potem wszyscy troje stanęli przed kolumnadą składającą się z dziesięciu trzymetrowych kolumn i kończącą się bramą wjazdową. Drugie tyle ozdobnych filarów ciągnęło się za nią.

– Będziemy udawać turystów. – Leon Sokal wyjął smartfona, zaczął robić zdjęcia.

– Zwariowałeś? – zaoponowała Lena Augustyn, łapiąc kolegę za rękę. – Nie pamiętasz, co napisał tamten facet? – ściszyła głos. – Mamy nie rzucać się w oczy.

– Zrobimy to po mojemu. – Wyrwał dłoń z uchwytu.
– Dlaczego po twojemu? – Nie dawała za wygraną. – Będziemy głosować.

– Nie możecie się kłócić głośniej? – rzekł Marcel Roszak, przyglądając się scysji z niesmakiem wymalowanym na twarzy. – A może od razu podnieście ręce do góry i zadzwoncie na policję, żeby się przyznać, że spiskujemy?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– W sumie nie musielibyśmy nawet dzwonić na policję – mówił dalej z przekąsem. – Wystarczy poczekać, aż znów pojawi się ten bus.

– Myślisz, że to tajniacy? – spytał Leon Sokal cicho.

– A kto? – Lena Augustyn odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Łowcy kur?

– Nie wiem, kim są, ale na pewno nie powinno nam zależeć na bliższej znajomości z nimi – zauważył Marcel Roszak kwaśno. – Coś wam powiem. – Odetchnął głęboko. – Jeśli mamy problem z czymś takim, jak dotarcie na miejsce spotkania, to marnie widzę nasze szanse w tej całej zabawie w partyzantów.

– To nie jest zabawa – skontrowała Lena Augustyn.
– Nie rozumiecie tego?

– Nagrywamy rolki na TakTaka. – Leon Sokal puścił uwagę koleżanki mimo uszu. – Dawaj! – rzucił do Marcela Roszaka.

Ten zaczął nagrywać, chwilę później Leon Sokal dołączył do niego ze swoim sprzętem. Byli tak pochłonięci wykonywaną czynnością, że nie zwrócili uwagi na twarz Leny Augustyn, na której wcześniejsza złość na kolegów zwolniła miejsce przerażeniu.

Gdy wreszcie się zorientowali, za plecami poczuli czyją obecność.

Odwrócili się jednocześnie, ale było już za późno na jakąkolwiek reakcję.

Bus, którego tak się obawiali, zbliżał się do nich w szalonym tempie.

Sekundę później z piskiem opon zatrzymał się obok nich.

Na ten widok Marcelowi Roszakowi smartfon wypadł z ręki i z głośnym trzaskiem uderzył o asfalt.

Rozdział 4

21 września 2025, Gościeszyn

Wersteler już od kwadransa nie napełniał kieliszków z własnej inicjatywy – pozostali dwaj też nie nalegali – widział, że mają dość i wyczekiwał tylko właściwego momentu.

– Słyszałem, że w tym pałacu gościł swego czasu wasz narodowy wieszcz – rzekł oligarcha.

– Adam Mickiewicz? – zaciekał się premier.

– Tak.

– Nie miałem pojęcia...

– To tylko pogłoski. – Wersteler włączył się do dyskusji.

– Nie ma na to dowodów. Aczkolwiek bardzo możliwe, że odwiedził członka rodziny ówczesnych właścicieli.

– Piotruś, skąd wiesz o takich rzeczach? – Premier był pod autentycznym wrażeniem.

– To moja praca. – Komendant główny policji uśmiechnął się szeroko. – Wiedza to mały krok dla oby-

watela, ale wielki krok dla pilnującej porządku policji.
– Zaśmiał się, zadowolony z siebie.

– Wiedza daje wolność, ale unieszczęśliwia – rzekł Młot zadumanym głosem. – Im mniej człowiek wie, tym łatwiej mu żyć. – Spojrzał na rozmówców. – Erich Maria Remarque... – dodał wyjaśniająco.

W tym czasie premier muskał palcami ekran smartfona.

– Mądrość przychodzi wtedy, kiedy nie jest nam już do niczego potrzebna – przeczytał po chwili. – Gabriel Garcia Marquez. – Spojrzał na gospodarza.

Ten z kolei popatrzył wyczekująco na komendanta policji.

Wersteler postanowił zbudować lekkie napięcie. Odezwwał się dopiero po krótkim oczekiwaniu.

– Prawdziwa wiedza to znajomość przyczyn. – Uśmiechnął się, opuściwszy powieki. Nie chciał, żeby którykolwiek z kompanów próbował teraz odczytać to, co pokazywały jego oczy. Tę myśl wolał zachować dla siebie.

– Kto to powiedział? – spytał Młot.

Komendant główny policji nie odpowiedział, sycił się chwilą.

– Sokrates? – dopytywał Rosjanin.

Wersteler kręcił przecząco głową, cały czas mając zamknięte oczy

– Platon? – Oligarcha zacisnął pięści tak mocno, że palce przypominające wyglądem serdelki nabrały białego koloru.

Policjant wciąż milczał.

– Arystoteles! – wrzasnął Rosjanin. – To musi być Arystoteles!!!

– Brawo! – rzekł Wersteler, otworzywszy oczy. Wstał z fotela, napełnił kieliszki. – Wznoszę toast za twórcę logiki!

Młot i Kopyto swoje porcje wychylili duszkiem, za to komendant policji podlał rododendrona.

Chwilę później ostrożnie wyjął kieliszki, najpierw z dłoni gospodarza, potem premiera.

Obaj spali jak zabici.

*

Wersteler opuścił bibliotekę, starając się zrobić to jak najciszej, nie chciał obudzić żadnego z pozostałych mężczyzn, chociaż tak naprawdę były to zbędne środki ostrożności. Porcja alkoholu, jaką obaj w siebie wiali, położyłaby trupem większość mężczyzn.

Komendant główny policji zamknął drzwi, po czym zwrócił się do pilnującego ich barczystego faceta z głową ogoloną na łyso. Z wcześniejszej wymiany zdań wiedział, że to jedyny ochroniarz Młota posługujący się językiem polskim w stopniu komunikatywnym.

– Śpią? – spytał Rosjanin.

– Tak jest – potwierdził Wersteler. – Gdzie reszta ekipy?

– Odpoczywają w kuchni.

– Piją?

Ochroniarz tylko się skrzywił.

– Mój zmiennik będzie za dwie godziny – jęknął, myśląc o tym, czy wtedy będzie jeszcze coś do picia.

– W sali balowej są zapasy wódki. – Komendant główny policji jakby czytał w jego myślach. – Możecie się częstować.

– Dzięki!

– Tylko żeby żadnemu z was nie przyszło do głowy robić im teraz zdjęcia. – Kiwnął głową na drzwi.

– Moje życie jest parszywe, ale nie aż tak, żebym miał z niego dobrowolnie rezygnować – zauważył ochroniarz.

– I słusznie – stwierdził Wersteler. – Ostro popili, więc trochę potrwa, zanim się obudzą. Na waszym miejscu bym im nie przeszkadzał. Jak będą czegoś potrzebować, to na pewno dadzą znać.

– Tak jest! – zapewnił. – A pan dokąd idzie?

– A co was to interesuje? – rzekł ostro. Zaraz potem złagodniał. To nie była wina ochroniarza, że musiał stać na warcie o suchym pysku, podczas gdy koledzy smakowali polskiej wódki. Pokazał na schody wiodące na górną kondygnację. – Idę nadrobić zaległości.

– Będzie pan pracować?

– Pracować? – Polak zaśmiał się głośno. – Za mało mi płacą, żebym harował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdrowie ma się tylko jedno... – Klepnął ruską po przyjacielsku w ramię. – Idę się wreszcie, kurwa, wyspać!

Rozdział 5

21 września 2025, Gościeszyn

Z busa wysiadło dwóch mężczyzn. Nie trzeba było mieć bogatego doświadczenia życiowego, by od razu móc w nich rozpoznać przedstawicieli służb mundurowych. I nie chodziło nawet o poły marynarek wypchane w charakterystyczny sposób na lewej piersi, co ogólną

aparycję. Nie dość tego, wyższy z nich miał włosy ścięte krótko na jeża – zupełnie, jakby był fanem pruskiego drylu – drugi zaś był całkowicie łysy.

– Czego tu szukacie? – warknął ten ścięty na jeża.

– Robimy filmy na TakTaka. – Z braku lepszego pomysłu Leon Sokal postanowił powiedzieć prawdę, przynajmniej tę przygotowaną naprędce chwilę wcześniej.
– Ten zabytkowy pałac...

– W dupie mam zabytkowy pałac! – Przerwał mu łysy bezceremonialnie. Podszedł tak blisko, że chłopak mógł bez problemu policzyć krosty na jego twarzy, ślady po przebytej w dzieciństwie ospie wietrznej. – To teren prywatny.

– Prywatny? Myśmy nie wiedzieli... – Chłopak grał rolę życia, podczas gdy jego towarzysze przypatrywali się wszystkiemu w milczeniu. – Chcieliśmy tylko zrobić parę filmików... Tak z ulicy... Nie zamierzaliśmy wchodzić na teren ogrodu...

Ścięty na jeża podszedł bliżej, wykonując ruch, jakby miał wyprowadzić cios pięścią, ale powstrzymała go ręka kolegi zaciśnięta na przegubie. Spojrzał na kompana, potem powiódł za jego wymownym spojrzeniem w kierunku głównego wejścia do pałacu.

Mimo że znajdowali się ponad 100 metrów dalej, stojącą tam postać poznał od razu.

– Ty idź – rzekł cicho, widząc przywołujący gest ręki człowieka z oddali. – Ja nie pójdę.

– Zawsze jesteś mądry tylko w gębie. – Ścięty na jeża westchnął głęboko, ruszając przed siebie różnym krokiem. Wiedział, że ten, który go wzywał, nie tolerował sprzeciwu.

Tymczasem łysy – w oczekiwaniu na powrót kolegi – postanowił zabawić się kosztem zatrzymanych.

– Wiecie, kto tu teraz mieszka? – spytał, cedząc słowa.

Marcel Roszak i Leon Sokal kiwnęli przecząco głowami. Lena Augustyn była jeszcze bardziej przestraszona od kolegów i w ogóle nie zareagowała.

– Taka starsza pani – wypalił Leon Sokal bez ostrzeżenia. – Rozmawialiśmy z nią kwadrans temu. Akurat szła do kościoła na mszę. Powiedziała, że tu mieszka i że może nam pokazać starą ujeżdżalnię. – Łgał jak najęty, pokazując palcem na budynek stojący po prawej stronie pałacu. Ozdobiony był kolumnami niczym grecka świątynia, a nie budynek gospodarczy pełniący obecnie funkcję mieszkalną.

– Pytałem o pałac. – Mężczyzna błysnął bielą zębów. – Wiecie, kto tu mieszka? – Mimo że mówił szeptem, jego głos brzmiał donośnie. Przynajmniej takie wrażenie odnieśli młodzi.

Potrząsnęli gwałtownie głowami. Strach, jaki mieli w oczach, podziałał na łysiego jak czerwona płachta na byka. Mimo że dostał wyraźny rozkaz, aby tożsamość nowego właściciela pałacu Kurnatowskich utrzymać w ścisłej tajemnicy, nie mógł się powstrzymać.

Kiedy fałszywi turyści usłyszeli nazwisko – podawane w ostatnich tygodniach przez niemal wszystkie media – stanęli jak wryci.

– A wy nie poszłicie do kościoła razem z tą staruszką? – Mężczyzna bawił się w najlepsze. – Co wy kombinujecie?

– Do kościoła? – Lena Augustyn zmusiła się, by odpowiedzieć. – Po co? Tam są same nudy – dodała szybko, modląc się w duchu, by wypadło to naturalnie.

Łysy splunął na chodnik, zerkając na wejście do pałacu.

– Ta dzisiejsza młodzież – westchnął. – Idzie mój kolega – dodał, widząc, że ścieży na jeża zmierza w ich kierunku. – Tak czy siak macie przejebane. – Wyszczerył zęby w groźnym uśmiechu, a potem ruszył w stronę kompana, dostrzegłszy krótkie kiwnięcie głową.

Odszedł kilka kroków, za plecami usłyszał, że młodzi szepczą coś między sobą z przejęciem i, nie mogąc się powstrzymać, odwrócił się, by jeszcze raz zmierzyć ich surowo wzrokiem.

– Mamy im wpierdolić? – spytał kompana.

– Nie – odpowiedział ścieży na jeża.

– Nie?! – zdziwił się niepomierne. – To czego stary chciał?

– Opierdolić nas.

– Nas? – Łysy wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. – Za co?!

– Za to, że niepotrzebnie straszymy miejscową ludność

– Przecież to nie miejscowa ludność, tylko turyści.

– Chcesz to powiedzieć staremu osobiście? – skontrolował. – Tak myślałem – warknął.

– Dostał generalskie gwiazdki i mu odbiło – rzekł z naciskiem.

– Żebyś wiedział – potwierdził ochoczo. Wykrzywił usta, zaczął przedrzeźniać. – Musimy myśleć o społecznym odbiorze – naśladował poważny ton swojego rozmówcy sprzed chwili. – Jak by to wyglądało w mediach,

gdybyśmy kilku turystów zainteresowanych zabytkami potraktowali w tak obcesowy sposób? – imitował nadal.

Łysy zaśmiał się gardłowo, ale zaraz potem spoważniał.

– Obcesowy, tak powiedział?

Ścięty na jeża potaknął, wzdychając przy tym głośno.

– Wiesz, co to znaczy? – rzucił po chwili, patrząc kpiąco na kolegę.

– Wal się! – odciął się łysy momentalnie. – Co z nimi robimy?

– Mamy pouczyć o próbie wtargnięcia na teren prywatny i puścić wolno.

Łysy mruknął coś niezrozumiale pod nosem.

– Jego decyzja, nie nasza – zaznaczył ścięty na jeża.

– My tu nie jesteśmy od myślenia. – Zaczął iść w kierunku młodych.

Widząc to, ci natychmiast przestali szeptać między sobą.

– No, gówniarze. – Ścięty na jeża stanął w rozkroku.

– Tym razem wam się upiekło. – Cmoknął niezadowolony.

– Na co jeszcze czekacie? – wrzasnął łysy nagle.

– Spierdalać stąd, ale już!

*

Dwie minuty później młodzi siedzieli w tym samym miejscu, w którym wcześniej staruszka okładała ich laską.

– Przez główną bramę nie możemy teraz wejść – zawyrokował Leon Sokal. – Drugi raz te goryle nie dadzą się nabrać.

– Masz rację. – Marcel Roszak miał zafrasowaną twarz, na ekranie smartfona pojawiła się długa rysa.

– To co robimy?

– Musimy wrócić do kościoła – odpowiedział Leon Sokal. – Za kościołem widziałem gęste zarośla. Nikt nas tam nie zobaczy. Znajdziemy w krzakach jakieś dogodne miejsce i przejdziemy przez ogrodzenie.

– A jak nas złapią? – Marcel Roszak zrobił minę, jakby miał się zaraz rozplakać.

– Cykor cię obleciał? – Lena Augustyn uśmiechnęła się kpiąco. – Cykor jak nic.

– Sama jesteś cykor – wycodził. – Jak mamy iść, to idziemy. Bo i tak już jesteśmy spóźnieni.

– Racja – potwierdził Leon Sokal i jako pierwszy ruszył w stronę kościoła.

Chwilę później przedzierali się już przez gęstą roślinność.

– Nie kumam, dlaczego ten człowiek wybrał na spotkanie akurat to miejsce. – Lena Augustyn zawisła z nogami zawieszonymi na betonowym płocie. Zaraz potem zeskoczyła na drugą stronę.

– Pewnie dlatego, że najciemniej jest zawsze pod latarnią – zauważył Leon Sokal, dołączając do kolegi. – Ale jak chcesz mieć pewność, to za chwilę będziesz mogła go spytać sama.

21 września 2025, Gościeszyn

Młodzi dostali się do środka dawnej stajni bocznym wejściem – choć pojęcie mogło być mylne, bo kryło się ono między dwoma parami kolumn mającymi jakieś cztery metry wysokości. Gdy tylko przemknęli pod równie okazałym tympanonem, znaleźli się w korytarzu, którego ciemności z trudem rozjaśniała słaba żarówka. Kierując się otrzymanymi wcześniej wskazówkami, dotarli do celu. Weszli do pomieszczenia, było przestronne, ale ze względu na zaciągnięte kotary niewiele można było zobaczyć.

Dopiero po chwili, gdy przyzwyczaili wzrok do panujących tu półciemności, dostrzegli, że jedynym wyposażeniem pokoju był ręcznie wykonany stół dębowy i wypchana figura niedźwiedzia.

Nagle wyłoniły się zza niej dwie zamaskowane postaci. Jedna – ubrana w sportowy garnitur – miała na głowie maskę znaną z cyklu *Straszny film*, wykrzywioną w charakterystycznym grymasie, często używaną podczas balów na halloween. Druga – w jeansach i ciemnej koszulce polo – chowała się za podobizną Jokera.

– Jezu! – wrzasnął Marcel Roszak. Okręcił się na pięcie i już miał rzucić się do ucieczki, ale został powstrzymany przez pozostałych.

– Czekaj. – Lena Augustyn jedną dłonią trzymała kompana, drugą zaczęła nerwowo pocierać palcami.
– Przychodzimy z polecenia pana Koziołka. – Użyła umówionego hasła.

W odpowiedzi odezwał się Joker.

- J-23 znów nadaje... – Zrobił krótką pauzę.
- Gdyby towarzyszący mu mężczyzna ściągnął teraz przebranie, Joker zobaczyłby twarz pełną dezaprobaty.
- Nie mogłem się powstrzymać – mówił Joker dalej.
- Uwielbiam *Stawkę większą niż życie*. A wy?
- Odpowiedziało mu milczenie.
- Znacie ten serial? – pytał dalej. – Nie... – odparł sam sobie. – No tak... Nie to pokolenie...
- To jest bal przebierańców? – Marcel Roszak rzucił to szeptem, ale na tyle głośno, by zamaskowali mężczyźni go usłyszeli.
- Co mówiłeś? – Joker zrobił krok do przodu.
- Nic takiego, proszę pana – zapewnił Marcel Roszak.
- Tak się tylko zastanawiałem, skąd te przebrania...
- Mężczyzna w masce ducha podszedł do stołu, oparł się o niego, mebel zatrzeszczał złowrogo.
- Zaczniemy od tego, że w naszej organizacji stosujemy modę amerykańską. – Joker wciąż stał w tym samym miejscu. – To znaczy wszyscy jesteśmy ze sobą na „ty”. Bez względu na wiek.
- Ale pan, sądząc po głosie, mógłby być moim ojcem – zauważył Leon Sokal.
- Nie ma to znaczenia – uciął Joker.
- A ten pan ile ma lat? – Lena Augustyn pokazała na Ducha.
- Może być twoim dziadkiem – odparł Joker. – A może ojcem? – poprawił się szybko. – A może nieco starszym kuzynem. Co cię to tak interesuje?
- Dziewczyna nie odezwała się słowem i w pomieszczeniu zapanowała niezręczna cisza. Przerwał ją dopiero mężczyzna w masce Jokera.

– Macie jakieś pytania na początek?

Lena Augustyn spojrzała na kolegów błagalnie, licząc, że wezmą na siebie ciężar rozmowy. Nic takiego nie miało jednak miejsca.

– Ja mam jedno... – zaczęła nieśmiało.

– Wał śmiało. – Po głosie Jokera było można wyczuć, że kiedy to mówił, się uśmiechnął.

Lena Augustyn jeszcze raz zerknęła na kompanów. Znów nie otrzymawszy od nich pomocy, zebrała się w sobie.

– Dlaczego spotykamy się tutaj?

– W jakim sensie? – Joker odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Dlaczego tutaj?

– Ale co masz na myśli? – dociekał. – Warunki lokalowe wam nie odpowiadają? Chcieliście spotkać się w bardziej eleganckim miejscu? Jakimś luksusowym hotelu? – strzelał pytaniami jak serią z karabinu maszynowego.

– Nie o to chodzi. – Lena Augustyn wykonała nerwowo ruch głową. Jeszcze raz popatrzyła na jednego kolegę, potem na drugiego, jakby wciąż liczyła, że przyjdą jej w sukurs. Gdy nic takiego nie nastąpiło, nabrała głęboko powietrza, wypuściła je. – Wiesz, kto mieszka w tym pałacu?

– Wiem.

– A twój kolega wie? – Skinęła głową w kierunku Ducha.

– Wie – odpowiedział bez zastanowienia. – To świetna przykrywka.

– Najciemniej jest zawsze pod lampą – wtrącił Marcel Roszak.

– Pod latarnią – poprawił go Joker machinalnie. – Kto by podejrzewał, że pod okiem tego ruskiego skurwysyna ruch oporu zorganizuje spotkanie rekrutacyjne? – Pytanie było retoryczne, nie czekał zatem na odpowiedź. – Wy byście coś takiego podejrzewali?

– Ja nie – przyznał Marcel Roszak.

– Ja też nie – poprał go Leon Sokal.

– A ty? – Joker wbił wzrok w dziewczynę.

– Mnie by to przemknęło przez głowę – odparła Lena Augustyn ostrożnie.

– No cóż... – Joker myślał nad tym, jak dobrać słowa, żeby nikogo do siebie nie zrazić. – Mam nadzieję, że twoi koledzy się nie obrażą... Ale od razu widać... Po twoich pytaniach... Że jesteś inteligentna.

– Chciałeś powiedzieć, że z naszej trójki jestem najmądrzejsza? – W głosie Leny Augustyn dało się słyszeć wyczekiwanie. – Bez urazy, chłopaki. – Popatrzyła na kolegów.

– Na pewno nie jesteś najskromniejsza. – Joker się zaśmiał. – Ale faktycznie, przemknęło mi to przez głowę, że z całej waszej trójki macz najbystrzejszy umysł. – Zamyślił się. – Co wcale nie oznacza, że twoi koledzy są mniej bystrzy. Może po prostu są mniej śmiali i dlatego tyle się nie odzywają?

– Normalnie gęby nie zamykają im się na sekundę – burknęła Lena Augustyn. – Chyba że grają.

– Znalazła się ta, co nie gra – zachnął się Marcel Roszak.

– A dlaczego on w ogóle się nie odzywa? – Lena Augustyn pokazała głowę na Ducha.

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł Joker szybko.

Leny Augustyn ta odpowiedź nie zadowoliła. Przyglądała się Duchowi wciąż opartemu o dębowy stół. Już chwilę wcześniej zwróciła uwagę, że cały czas trzymał przy tym ręce w kieszeniach i chyba czymś się w nich bawił, bo co chwilę było widać, jak materiał, z którego były wykonane spodnie, się rusza.

– Jak mamy do ciebie mówić? – spytał Leon Sokal.

– Mówcie do mnie: Kościuszko.

– Ale masz maskę Jokera. – Marcel Roszak nie krył zdziwienia.

– Powiedzmy, że Kościuszki nie było w sklepie.

Marcel Roszak sięgnął do kieszeni, wyjął z niej smartfona. Z ulgą stwierdził, że upadek na asfalt – poza rysą – mu nie zaszkodził.

– Co robisz? – spytał Joker.

– Chwila... – Chłopak nawet na niego nie spojrzał.

– Mogłeś zamówić w sieci – rzekł po krótkiej chwili.

– Chcesz powiedzieć, że właśnie sprawdziłeś to w internecie? – Joker był poirytowany. – A przyszło ci do głowy, że w ten sposób możesz naprowadzić na mnie wydział do walki z terroryzmem wewnętrznym?

– Niby jak?

– Wystarczy, że sztuczna inteligencja, którą wykorzystuje do inwigilacji, wpadnie na powiązanie. – Denerwował się coraz bardziej. – Już sam fakt, że nasze smartfony logują się w jednym miejscu, może być niebezpieczny.

– Mogłeś swojego smartfona wyłączyć – zauważył Marcel Roszak.

– To mogłoby być równie niebezpieczne – skontrował Joker. – Algorytmy, jakie ruscy i Chińczycy wykorzy-

stują do nauki AI są coraz lepsze, a nasi dostali od nich licencje. Zresztą, wy powinniście to chyba wiedzieć najlepiej? – Popatrzył na resztę. – Wyłączenie pięciu telefonów w tym samym czasie i miejscu mogłoby być jeszcze bardziej podejrzane.

– Nie wiedziałem, że chinole współpracują na tym polu z ruskimi – wtrącił Leon Sokal.

– To już wiesz – spuentował Joker.

Lena Augustyn postanowiła włączyć się z powrotem do rozmowy.

– Jak mamy mówić na niego? – Pokazała na Ducha.

– Krzyk?

Joker zaśmiał się głośno.

– To jest Ten. – Gestem dłoni dokonał prezentacji.

– Tak go nazywajcie: Ten.

– Ten jest niemową? – spytał Leon Roszak.

– Nie.

– Ocenia nas? – spytała Lena Augustyn podejrzliwie.

Joker znów się zaśmiał, ale znacznie ciszej.

– Jak już mówiłem: od razu widać, że jesteś z całej trójki najbardziej inteligentna.

– Dzięki, stary – zachnął się Leon Sokal.

– Bez urazy. – Joker podniósł otwarte dłonie w geście przeprosin. – Tak żeby było jasne: obaj was oceniamy.

– Dlaczego macie maski? – Marcel Roszak przygryzł wargę.

– Zasady konspiracji – wyjaśnił Joker.

– Dlaczego my nie musimy mieć masek?

– Z jednej prostej przyczyny – odparł. – My dwaj wiemy, kim jesteście. Z kolei wy swoją tożsamość znacie, więc nie musicie jej przed sobą ukrywać.

– To są dwa powody – zauważyła Lena Augustyn cicho.

– Słucham?

– Wy się nie znacie, prawda? – mówił dalej. – Ty nie wiesz, kim on jest.

Joker się zawahał.

– Nie wiesz – naciskała Lena Augustyn.

– Nie wiem – potwierdził po krótkim namyśle.

– Ale on wie, kim ty jesteś?

Mężczyzna w masce Jokera nie odpowiedział, popatrzył na Tego.

– Nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie – odparł dopiero po dłuższej chwili.

– Czyli wie – stwierdziła Lena Augustyn. – To znaczy, że Ten jest tu szefem.

Duch zakaszlał nerwowo.

– Jesteś szefem wszystkich szefów? – Tym razem Lena Augustyn skierowała pytanie bezpośrednio do Tego.

Ale nie doczekała się odpowiedzi.

– Nie powinnaś zadawać takich pytań – zauważył Joker.

– Dlaczego? – spytała Lena Augustyn.

– Zasady konspiracji – wyjaśnił cierpliwie. – Poszczególne członkowie ruchu oporu nie powinni znać prawdziwych danych kolegów i koleżanek.

– Żeby w razie wpadki ich nie wsypać? – wtrącił Leon Sokal.

– Dokładnie.

– Powiedziałeś, że obaj nas oceniacie. – Lena Augustyn postanowiła zmienić temat. – Zdaliśmy egzamin?

– Dowiedcie się w swoim czasie – odparł Joker, patrząc na Tego.

Ten palcem wskazującym prawej ręki dotknął przegubu prawej, jakby pokazywał na zegarek.

– Do rzeczy, dzieciaki – rzekł Joker.

– Tylko nie tym tonem... – Lena Augustyn się obruszyła.

– Sorry... – rzekł Joker. – Zaprosiliśmy was na to spotkanie, żeby zadać wam kilka pytań...

– Szukacie hakerów. – Lena Augustyn weszła mu w zdanie.

– Przecież że nie grzecznych chłopców i dziewczyn.

– Mężczyzna znów się uśmiechnął. – Chcemy wiedzieć, czy dacie radę zorganizować zespół... – Zamyślił się. – Albo kilka zespołów... Nieważne... – Machnął zniecierpliwiony ręką. – Chcemy wiedzieć, czy możecie stworzyć grupę hakerów, która poradzi sobie z kilkoma zadaniami. – Zaczął podawać detale.

Nie miał przy sobie kartki – nie chciał podejmować zbędnego ryzyka w razie wpadki i przeszukania – a że nie znał fachowych słów, dlatego co chwilę któryś z chłopaków przerywał mu lub go poprawiał, Lena Augustyn odzywała się rzadziej, wołała słuchać. Nie denerwował się jednak z tego powodu, wiedział, że robią tak, by wszystko było jasne.

Opowieść zajęła mu kilka minut. Gdy skończył, czuł się bardziej zmęczony niż po porannej zaprawie w jednostce.

– Da się zrobić – ocenił Leon Sokal ostrożnie. – Dobrze mówię? – spojrzał na pozostałych.

Marcel Roszak potaknął delikatnie, za to Lena Augustyn wykonała dużo bardziej przekonujący ruch głową.

– Ile czasu na to potrzeba? – spytał Joker.

- A jaki mamy budżet? – odparł Leon Sokal.
- Budżet?
- Ile kasy możemy zaproponować kolegom z zagranicy.
- Nie mamy jakiegoś wielkiego budżetu. – Joker wzruszył ramionami. – To jest konspiracja, nie korporacja.
- Spojrzał na Tego. Widząc jego potaknięcie, dodał:
- Może parędziesiąt tysięcy by się znalazło.
- Na tylu ludzi? Mało – oceniła Lena Augustyn. – Niektórzy hakerzy zarabiają tyle w miesiąc. I to bez takiego ryzyka.
- Tu trwa wojna, ale poza Polską toczy się normalne życie – dodał Leon Sokal. – Ludzie mają swoje zobowiązania, umowy, robotę do wykonania.
- Da się czy nie? – Joker był wyraźnie zniecierpliwiony.
- Popytamy i damy znać, okay? – spytała Lena Augustyn.
- Jasne. – Po reakcji było widać, że Joker jest zawiedziony.
- Kościuszeko... – zaczął Leon Sokal. – Nie zrozum nas źle... – Szukał słów. – My to zrobimy za darmo. Dla kraju. Ale nie wszyscy, których poprosimy o pomoc, będą równie chętni do roboty za *free*.
- Teraz odbierzemy od was ślubowanie. – Z kieszeni spodni Joker wyciągnął biało-czerwoną flagę. Rozwinął ją. Nie była duża, miała wymiary jednej czwartej kartki papieru. – Z oczywistych powodów większej nie mam.
- Palcami obu rąk chwycił za dwa końce, rozpostarł ją między dłońmi.
- Nie czekając na polecenie, młodzi ustawili się w równym rzędzie.

– Podnieście prawe dłonie – instruował Joker. – Jeśli ktoś z was ma przy sobie krzyż i chce na niego przysięgać, może to zrobić. Ważna rzecz: ze względu na charakter miejsca, w którym się znajdujemy, mówcie cicho. Żadnych okrzyków.

Potaknęli.

– Przysięgam wierność ojczyźnie, Rzeczypospolitej Polskiej – zaczął Joker.

Powtórzyli za nim.

– Przysięgam stać na straży jej wolności, a o wyzwolenie jej z niewoli wroga zewnętrznego i wewnętrznego walczyć ze wszystkich sił, włącznie z ofiarą własnego życia – recytował Joker dalej, a oni za nim powtarzali. – Przysięgam bezwzględne posłuszeństwo wyznaczonemu dowódcy armii konspiracyjnej... Przysięgam dochować powierzone mi tajemnice bez względu na to, co miałyby mnie spotkać z rąk wroga...

Kiedy skończyli mówić, podał im do pocałowania flagę Polski. Potem złożył ją z namaszczeniem i wsunął z powrotem do kieszeni spodni.

– Przyjmujemy was w szeregi żołnierzy armii konspiracyjnej walczącej z najeźdźcą zewnętrznym i wrogiem wewnętrznym o wyzwolenie ojczyzny – mówił Joker głosem pełnym powagi. – Waszym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku lub bez niej. Wygrana będzie waszą i naszą nagrodą. Za zdradę karzemy śmiercią.

Na dźwięk tych słów młodzieńcy zadrżeli.

Ich reakcja nie umknęła uwagi mężczyzny.

– Nadal chcecie być członkami konspiracji? – spytał cicho.

Wszyscy troje potaknęli.

Niespodziewanie Ten wyprostował się i ruszył w ich kierunku. Wyjął dłoń z kieszeni, wyprostował ją, leżały na niej trzy małe cylindryczne metalowe przedmioty. Podał je drugiemu z mężczyzn.

– To dla was – powiedział Joker. – Wiecie, co to jest? Zaprzeczyli.

– Nie mieliście w szkole zajęć praktyczno-technicznych? – zdziwił się mężczyzna.

– Czego? – wypalił Marcel Roszak.

– Nieważne. – Joker machnął zrezygnowany ręką.

– To są oporniki wykorzystywane do ograniczenia przepływu prądu. Ze względu na swoją nazwę są symbolem ruchu oporu.

– Ale z ciebie bambik... – Zaśmiała się Lena Augustyn.

– Zakładacie na twarze maski, żebyśmy w razie wypadki nie mogli was wsypać, ale mamy od was wziąć oporniki, które nas samych wsypią w razie przeszukania?!

Ten w milczeniu wyciągnął przed siebie pustą dłoń.

– Słuszna uwaga, młoda – pochwalił Joker i oddał oporniki Temu.

– Czyli teraz mamy pewność, że on tu jest *big brain*

– zauważyła Lena Augustyn.

Joker popatrzył na nią zaskoczony.

– On tu rządzi – wyjaśnił Marcel Roszak. – Tak się mówi: *big brain*. Wielki mózg.

– Jasne. – Westchnął Joker. – Jaką nazwę chcecie dla swojej komórki?

– *Anonymous* – zaproponował Leon Sokal.

– *Anonymous* z Gościeszyna – dorzuciła Lena Augustyn.

– Nie możemy wykorzystywać nazwy tej miejscowości – zauważył Joker. – Służby wroga mogłyby powiązać dane... Szczególnie sztuczna inteligencja.

– Punkt dla ciebie. – Lena Augustyn była niepokieszona. – *Anonymous Patriot*?

– Może być – zgodził się od razu. – Pamiętajcie, że waszym zadaniem jest stworzenie grupy godnej zaufania. Musicie być pewni każdego z jej członków jak siebie samych. Jedna niewłaściwa osoba i wszyscy wylądujemy w obozie albo dostaniemy kulkę w łeb. Wiecie, że ta władza nie patyczkuje się z przeciwnikami?

Potaknęli zgodnie.

– Wbijcie sobie do głów: musicie być bardzo ostrożni – mówił Joker dalej. – Inaczej możecie trafić do więzienia albo, co gorsza, zginąć. Ruscy i ich poplecznicy z naszych polskich służb nie cackają się ze spiskowcami.

– Wiemy, na co się piszemy. – Lena Augustyn powiedziała to mocnym głosem. – Znamy ryzyko.

– Dobrze – rzekł mężczyzna. – Koniec spotkania. Kolejne wiadomości dostaniecie tymi samymi kanałami komunikacji, co wcześniej.

Rozdział 7

21 września 2025, Gościeszyn

Kiedy młodzi opuścili pomieszczenie, mężczyzna w masce Ducha usiadł w tym samym fotelu, w którym siedział wcześniej. Joker odczekał chwilę, wyjrzał na korytarz, upewniając się, że żadnemu z hakerów nie przy-

szło do głowy ukryć się za drzwiami, po czym zajął miejsce na drugim fotelu, moszcząc się wygodnie.

– Zmyli się. – Dopiero teraz ściągnął z twarzy maskę.

Gdyby któryś z młodych zdecydował się jednak zostać w budynku imitującym grecką świątynię i wrócił na miejsce spotkania, nawet w panujących tu wciąż półciemnościach mógłby bez problemu ocenić, że ma do czynienia z kimś dwa razy starszym od siebie.

Mężczyzna nazywał się Jan Krzyk, miał 39 lat, był zawodowym żołnierzem w stopniu podporucznika i wdowcem wychowującym samotnie 11-letnią córkę Nikolę.

Krzyk otarł spoconą twarz, wziął głęboki wdech, pozwolił wypuścić powietrze, po czym wyprostował nogę, uderzając stopą w wypchanego niedźwiedzia, jakby tym nerwowym gestem chciał dać upust tłumionym od dłuższej chwili emocjom.

– To nie był dobry pomysł – rzekł wolno.

– Mam takie same zdanie. – Mężczyzna w masce Ducha siedział nieruchomo w fotelu, nie zdjął maski i nie zamierzał tego uczynić, dopóki Krzyk przebywał w tym samym pokoju. – Gówniarze kompletnie nie nadają się do tej roboty.

– O ja pierdołę... – jęknął Krzyk. – Tylko nie to...

– Uniósł głowę, wbił wzrok w sufit. – Miałem na myśli misia.

– Misia?!

– To nie był dobry pomysł, żeby umawiać spotkanie w tej ciemnicy i z takim oprzyrządowaniem. – Wyprowadził kolejne kopnięcie, ale tym razem włożył w to dużo więcej siły, aż figura niedźwiedzia zaczęła

się niebezpiecznie chybotać. – Roszak... Ten w krótkich spodenkach i koszulce z napisem *POV*... – dodał wyjaśniająco. – Prawie zrobił w gacie, jak nas zobaczył, gdy wyszliśmy z za niedźwiadka.

Ten nie skomentował. Z kieszeni spodni wyjął opornik, zaczął się nim bawić, przekładając między palcami.

– Tak na marginesie: wiesz, co oznacza *POV*? – spytał Krzyk. – *Point of view*... Punkt widzenia...

– Do rzeczy, bo zaraz muszę iść.

– Po pierwsze: dlaczego ani razu się nie odezwałeś?

– Po tonie, jakim Krzyk wypowiedział te słowa, było można poznać, że wciąż targają nim emocje.

– Mogliby rozpoznać mój głos – wyjaśnił. – Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

– Wystarczyło mnie uprzedzić przed spotkaniem.

Ten podrzucił opornik w powietrze, zaraz potem złapał go w tę samą dłoń i zacisnął palce.

– Mój błąd – rzekł cicho. – Dziewczyna mi się podoba. Powiedziała, że jestem *big brain*.

– Ty tu rządysz.

– Nie chodzi o rządy – zaproponował Ten natychmiast. – Jest inteligentna. I bystra.

– Ale? – wtrącił. – Bo jest jakieś: ale, prawda?

Dopiero teraz mężczyzna w przebraniu otworzył dłoń. W miejscu, w którym cienki drut opornika przebił skórę, dostrzegł kropelkę krwi.

– Co sądzisz o ich wartości... – spytał, chowając rezystor do kieszeni.

– Bojowej?! – Krzyk przerwał mu bezceremonialnie.

– Na polu walki nie chciałbym mieć ich ani z przodu, ani z tyłu...

– Mógłbyś się tak nie wrywać? – Tym razem to Ten wszedł w zdanie swojemu rozmówcy. – Poczekaj łaskawie, aż człowiek skończy zdanie. Nie pytałem o ich wartość bojową, bo ta jest żadna. Obaj dobrze o tym wiemy.

– Pogubiłem się... – Spojrzał na kompana, jakby zapomniawszy, że spod skrytej pod maską twarzy nie da się nic wyczytać. – Dopiero powiedziałaś, że nie nadają się do tej roboty.

– Chcę znać twoje zdanie – wyjaśnił cierpliwie. – Ty robiłeś wywiad. Ja widziałem ich tylko przez chwilę.

– Ale masz wyrobioną opinię?

– Mam – przyznał Ten. – Boję się, że nie dadzą rady.

– Ja też się boję – przyznał Krzyk. – Ale masz kogoś innego na ich miejsce?

Pytanie było retoryczne, obaj doskonale o tym wiedzieli.

– Moim zdaniem na hakerkę się nadadzą – rzekł Krzyk po chwili. – A do tego potrzebujemy tych dzieciaków, nie do ostrej akcji. Ich bronią mają być komputery, nie karabiny. Od strzelania będzie ktoś inny. Zapomniałeś?

– Nie zapomniałem. – Ten zmienił nerwowo pozycję, pochylając się w stronę Krzyka. – Ile oni mają lat?

– Dziewczyna i ten strachliwy niedługo będą pełnoletni.

– Wyglądają jak przedszkolaki.

– Przesadzasz. – Powiedział to twardo, w jego głosie nie było cienia zwątpienia. – Lena Augustyn... Ta najbystrzejsza... – dodał szybko. – To ona dwa lata temu

zhakowała ten nowy system za sto pięćdziesiąt milionów. Gówniara, jak ją nazwałeś, złamała go praktycznie za pomocą samego smartfona.

– Złapali ją?

– Cudem. Nie pytaj mnie o szczegóły techniczne, bo się na tym nie znam. Popełniła jakiś szkolny błąd i zostawiła ślad, po którym do niej doszli.

– A jak teraz też zostawi taki ślad?

– Masz kogoś innego? – Krzyk odbił piłeczkę. – Wojsko wyciszyło sprawę, media nic nie zwąchały. Dla niej to lepiej, bo rozeszło się po kościach. Gdyby była pełnoletnia, jak nic poszłaby siedzieć.

– Powinny jej raczej podziękować – zauważył. – Ten system był podobno nie do złamania... – Zrobił pauzę.

– Co o niej wiemy?

– Wychowuje ją matka. Ojciec zmarł na raka, gdy chodziła jeszcze do przedszkola.

– Matka ma jakiegoś przydupasa?

– Obecnie jest sama.

– Wzięłaś pod uwagę, że po takiej akcji dziewczyna może być teraz pod obserwacją służb? – spytał Ten.

– Chciałaś kogoś, kto sobie poradzi.

– A ten w koszulce?

– O nim wiemy najmniej. Kilka lat mieszkał w Anglii, trzy lata temu wrócił z matką do Polski. Dziewczyna go sprawdziła i za niego ręczy.

Ten aż podskoczył w fotelu.

– Jednym gówniarzem uwiarygadniasz drugiego? – podniósł głos.

Krzyk instynktownie powiódł spojrzeniem w kierunku drzwi.

– Ciszej... – syknął. – Dostałem cholernie mało czasu na znalezienie tych gówniarzy i zebranie informacji o nich.

– Wiem. – Ten uniósł obie ręce. – Już się nie będę czeplić – obiecał. – A ten trzeci?

– Leon jest najstarszy i najbardziej zdolny z całej trójki, chociaż na takiego nie wygląda.

– Na najstarszego? – odparł machinalnie.

– Najbystrzejszego.

– A nie Lena?

– Oboje są bardzo inteligentni – zgodził się Krzyk. – I oboje mają problemy z kontaktami społecznymi.

– Dla nas to nawet lepiej – zauważył Ten. – Przynajmniej nie będą łązić po knajpach i gadać z byle kim.

– Nie będą, to fakt – potwierdził. – Całymi dniami siedzą w domu i napierdalają w klawiatury.

– To jeszcze dzieciaki...

Krzyk wzruszył ramionami.

– Rzykujemy z nimi... – Ten cmoknął wymownie.

– Rzykujemy od pierwszego dnia, gdy ta swolocz ze wschodu przekroczyła granicę, a tacy, jak my, zdecydowali się zejść do podziemia – skontrolował Krzyk.

– Obawiam się, czy będą chcieli się słuchać – rzekł.

– Nie wyglądają na takich, którzy mają szacunek do autorytetów.

– Skąd ty się wzięłeś? – wypalił. – Dzisiejsza młodzież nie chce mieć autorytetów i ich nie ma. Nie licząc królów internetu, niepotrafiących sklecić poprawnego zdania. Liczą się tylko *followersi*.

Ten wstał, obciągnął marynarkę, ruszył w kierunku drzwi. Już miał je otworzyć, ale zamiast tego odwrócił się w stronę Krzyka.

– Nie spytałeś, kim jestem – zauważył.

– A powinienem spytać?

– Nie powinienes.

– To nie spytałem. – Krzyk kopnął niedźwiedzia, ale tym razem delikatnie, jakby się z nim droczył.

– Nie chcesz wiedzieć?

– Zapominasz, że służę w wojsku. Znam swoje miejsce w szeregu.

– Jasne... – powiedział Ten spokojnie. Otworzył drzwi, rozejrzał się w obie strony. Upewniwszy się, że korytarz jest pusty, wyciągnął w stronę Krzyka uniesiony kciuk.

– Jak wyjdę, odczekaj dziesięć minut.

– Okay – odparł. – Przyjdzie taki dzień, że mi powiesz, prawda?

– Powiem.

– Chciałbym wiedzieć, kiedy to się stanie.

– Ja też chciałbym, żeby to nastąpiło jak najprędzej.

Wiesz, co to będzie oznaczać?

– Wiem. – Krzyk patrzył, jak Ten znika w korytarzu.

– Że jesteśmy blisko celu.

Portal Y

Użytkownik: Aron Pysk

Obserwujących: 207.188.956

Post dnia

Polski premier powinien natychmiast przejść na polityczną emeryturę. Ten facet to naprawdę kompletnie niekompetentny dupek.

Polubiło: 195.333.029

Podąło dalej: 158.722

Część 1

Rozdział 8

18 maja 2025, Warszawa (cztery miesiące wcześniej)

Paweł Kicha miał dopiero 30 lat, a już był wschodzącą gwiazdą Telewizji Prawicowej – części medialnego imperium, jakie dwa miesiące wcześniej do życia powołał w Polsce Aron Pysk – czyli miliarder z Madagaskaru, jak nazywali go złośliwcy. Oprócz niej – diamentu w koronie – tworzyła ją między innymi sieć największych regionalnych dzienników i prowadzone przez nie portale internetowe, które w poprzednim miesiącu odnotowały prawie dwa miliardy odsłon, goniąc zagranicznych liderów. Kicha nie był tak głupi jak prawie dwie setki dziennikarzy protestujących przeciwko temu zakupowi i walczących o wolność prasy, których Pysk zwolnił następnego dnia. On cenił sobie niezależność, ale pojmował ją zupełnie w inny sposób: granica dziennikarskiej wolności kończyła się tam, gdzie pojawiały się pieniądze – czego oczywiście na głos nikomu nie zwykł mawiać. To pełny portfel pozwalał według niego prawdziwemu dziennikarzowi pełnić swoją misję – misję kształtowania ludzkich sumień i umysłów. Spełniać powinność, będąc drogowskazem prowadzącym maluczkich.

Ten dzień – a właściwie wieczór: wieczór wyborczy – miał być najważniejszym w jego krótkiej, acz błyskotliwej już karierze. Z tą myślą Kicha spojrział w swoje odbicie w lustrze.

– Dario, jeszcze tutaj. – Dotknął dłonią boku głowy.
– Rozczesz to, bo będę źle wyglądać. Wiesz, że Rysiu lubi mnie pokazywać z tego profilu. Twierdzi, że tak wypadam lepiej. – Zaśmiał się, ale bardziej przypominało to kaszel. – A przecież ja wyglądam dobrze z każdej strony, prawda? – Zaczął chrząkać raz za razem.

– Tak, mistrzu. – Daria Ślisz miała kilka lat więcej od prezentera i była specjalistką od makijażu. Z Telewizją Prawicową współpracowała od długiego czasu, znała więc większość pracujących tu dziennikarzy i pracowników obsługi technicznej, włącznie z tabunem ludzi, jakich prezes zatrudnił po przejściu przez Pyska.
– Już to rozczesuję.

Gdy dłonie kobiety dotknęły skóry głowy, nozdrza dziennikarza delikatnie się rozszerzyły. Zaraz potem zamknął oczy, pozwolił, by myśli popłynęły swobodnie.

To już nie były te czasy, co kilka miesięcy temu, gdy cisnęli się w jakimś starym magazynie i dzielili jedną garderobą. Dzięki milionom dolarów, jakie Pysk wpomógł w swoją nową grupę medialną, Kicha miał teraz prywatne pomieszczenie i asystentkę na wyłączność.

– Tak... – rozmarzył się w myślach. – Wiatr zmian, tak długo przez nas oczekiwany, wreszcie nadszedł...
– Podniósł powieki, uśmiechając się przy tym szeroko, pokazując samemu sobie śnieżnobiałe zęby, zrobione zaledwie tydzień wcześniej w jednej z najdroższych tureckich klinik.

Splótł palce obu dłoni, wykręcił je kilka razy tam i z powrotem, jakby szykował się do cotygodniowego meczu squasha. Spojrzał sobie prosto w oczy, motywując się tak, jak nauczył się tego na szkoleniu.

– Muszę dać z siebie wszystko! – powtarzał w głowie.
– Muszę pokazać, że stoję na straży jedynej słusznej wizji rzeczywistości! – Zrobił krótką pauzę, jak miał w zwyczaju. – Muszę walczyć o demokrację, której byt w ukochanym kraju jest w śmiertelnym zagrożeniu!

– Coś jeszcze, mistrzu?

Kicha przerwał cichy wywód, niezadowolony z tego, że mu przeszkodzono. Szybko jednak przywołał się do porządku. Darię Ślisz lubił, cenił jako makijażystkę i nie chciał, aby się na niego obraziła.

– Masz być jak bulterier! – warknął nagle bez ostrzeżenia.

Kobieta zamarła.

– No będę! – mówił Kicha dalej.

Daria Ślisz stała nieruchomo.

– Jak wściekły byk! – wrzasnął prezydent.

Dłonie makijażystki drgnęły w niemal niedostrzegalny sposób.

– No będę! – Emocjonował się coraz mocniej.

Kobieta szykowała się do ostatniego słownego uderzenia.

– Jak Tomy Lee Jones w *Ściganym!* Będę! No, to spieprzaj! – Kicha był tak podekscytowany, że trzy ostatnie frazy wypowiedział jednym ciągiem, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzyło.

Na dźwięk ostatnich słów Daria Ślisz nerwowo podskoczyła, chociaż słyszała je już niezliczoną liczbę razy. Kicha miał w sobie coś takiego, że gdy je wypowiadał – wpatrując się za pośrednictwem lustra w jej oczy – odnosiła wrażenie, jakby wwiercał się jej w mózg, dokonując swoistej wiwisekcji. Wiedziała, kiedy padnie owa

fraza, przygotowywała się do tego momentu i próbowała wtedy uciekać wzrokiem – lecz do tej pory się to jej nie udało.

Ile razy przygotowywała go do wejścia na antenę i na sam koniec przywoływał cytat z ulubionego filmu *Kiler* – o czym przypominał kolegom i koleżankom z redakcji średnio raz dziennie – tyle razy nie wiedziała, jak się zachować. Pierwszych kilka takich sytuacji ją bawiło, potem zaczęła się tym męczyć, od dwóch tygodni miała ochotę roześmiać się mu w twarz. Wiedziała jednak doskonale, że byłby to ostatni dzień jej pracy w redakcji. A odkąd stację kupił Pysk, nie mogła narzekać na wynagrodzenie. Zresztą, w porównaniu z dziennikarzami zarabiała nędzne grosze, o ich pensjach krążyły legendy. Podobno Kicha był jednym z tych, który otrzymywał co tydzień najwyższe przelewy.

– Gotowe, mistrzu... – szepnęła.

– Dziękuję. – Ta krótka słowna uprzejmość nie wyszła naturalnie, choć Kicha starał się, jak mógł. Z życzliwością wobec innych nigdy nie było mu po drodze, ale wiedział, że ktoś taki, jak on, musi dbać o zewnętrzny *image*. Poza tym, ogólny portret, jaki widziały miliony widzów, zależał od setek składowych elementów. Wśród nich czołowe miejsce zajmował wygląd. – Jesteś wolna.

Daria Ślisz zatrzasnęła sprawnie kuferek i szybko opuściła garderobę, nie chciała spędzać w niej ani sekundy dłużej niż było to konieczne.

Kicha spojrzął w lustro, zaraz potem opuścił wzrok i zatrzymał go na smartfonie. Czekał na ten jeden telefon, ale on wciąż milczał. Nie zrażał się jednak,

czuł, że to jeszcze trochę za wcześnie, że musi uzbroić się w cierpliwość, ale sycił się nadzieją, iż ten dzień wreszcie przyjdzie.

Gdy Aron Pysk we własnej osobie zadzwoni, by złożyć mu gratulacje za autorski program.

Rozmyślenia przerwał dźwięk powiadomienia. Dziennikarz aż podskoczył z wrażenia na fotelu. Zaraz potem chwycił smartfon, przebierając szybko palcami, sprawdził wiadomość.

Uśmiechnął się szeroko, widząc najnowszy wpis Pyska na Portalu Y, którego zresztą był właścicielem. Nie był może tak dobry i mocny, jak ten o premierze Krakowskim, ale też mu się podobał.

A tam, podobał – był świetny!

Odetchnął głęboko, wielbiąc faceta w myślach. Zbliżając opuszek palca do ikonki z serduszkami, czuł rosnącą ekscytację.

Wyraził swoją aprobatę, potem zajął się przygotowaniem do programu. Wyjął kartkę z pytaniami przygotowanymi wcześniej pod okiem redaktora naczelnego, zerknął na pierwsze z nich. Zaczął czytać na głos.

– Lewackie i liberalne środowiska zarzucają Państwowej Komisji Wyborczej pominięcie niezgodnych z prawem działań na TakTaku i Portalu Y. – Patrzył w lustro, rejestrując uważnie mimikę twarzy. – Jednym z ich argumentów jest fakt, że Aron Pysk publikował codziennie wpisy otwarcie krytykujące kandydata Liberalnych oraz Prawdziwie Lewicowych, a promujące przedstawiciela Jedynych Patriotów, niszowego ugrupowania, które założono niedługo przed wyborami.

Nagle go zmroziło. Zapomniał o najważniejszym!

Wziął smartfona, sprawdził wiadomości. Odetchnął z ulgą. Ekspert, którego zaprosił dziś do studia, potwierdził, że zapoznał się już z odpowiedzią.

Kicha podniósł wzrok, spojrzął w lustro, uśmiechnął się delikatnie.

– Moim i państwa gościem jest doktor habilitowany Marian Holewa, wykładowca politologii i fizyki na Collegium Callidus. Panie doktorze. Lewackie i liberalne środowiska zarzucają...

Próbę przerwało ponowne dzwięczenie telefonu. Tym razem przyszło powiadomienie z banku.

– Świetnie! – Ucieszył się, widząc, że Holewa właśnie przelał mu umówione dwie stowy od każdego tysiąca płaconego przez redakcję za wizytę w studiu.

Wrócił do tekstu. Tym razem sprawdził odpowiedź, gratulując sobie w duchu geniuszu. Nie dyktował zapraszającym przez siebie ekspertom pełnych zdań, podawał jedynie myśli, jakie mieli rozwinąć we własnym zakresie. Dzięki temu prowadzone przez niego rozmowy wypadły tak autentycznie!

Zatarł dłonie z radością, jak małe dziecko w piaskownicy, któremu – po wielu nieudanych próbach – wyszła wreszcie wymarzona babka z piasku.

Nagle z korytarza dobiegło delikatne stukanie.

Uśmiechnął się szeroko. Ani za głośne, ani za ciche. Dokładnie takie, jakiego uczył asystentkę od kilku tygodni. Wreszcie pojęła, w czym rzecz!

– Wlazła! – rzekł głośno.

Zaraz potem do środka weszła Mała Grażynka – jak nazywali ją wszyscy w redakcji. Stała przy drzwiach, skinęła głową.

Tych kilka sekund wystarczyło Kisze, by zlustrować ją wzrokiem. – Czeką nas poważna rozmowa – stwierdził w myślach. W zeszłym tygodniu ubierała się zdecydowanie bardziej stosownie, bluzki miały większy dekolt. Czas na dyscyplinującą połajankę! Jeśli chciała uczyć się u boku najbliższego żurnalisty telewizyjnego w tym kraju, musiała być gotowa na pewne wyrzeczenia.

– Mistrzu... – Mała Grażynka nie była w stanie więcej z siebie wykrztusić.

– Czego?

– Już czas. – Dygnęła tak, jak ją uczył. – Za pięć minut wchodzimy na antenę.

Rozdział 9

18 maja 2025, Warszawa

W tym czasie w studiu wyborczym Telewizji Publicznej trwała zażarta dyskusja o wstępne sondażowe wyniki wyborów – tak zwane *exit poll* – prowadzona między Grzegorzem Molem, najlepiej opłacanym dziennikarzem redakcji a przewodniczącym klubu poselskiego Liberalnych Jaromirem Wągrowcem.

– Powiem tak. – Mol zrobił teatralną pauzę. Sprawdził, która kamera go bierze, wbił w nią wzrok. – Jeśli te wyniki nie są efektem jakiegoś koszmarnego błędu metodologicznego pracowni badań czy też pomyłki wynikającej ze złego przeprowadzenia samych wywiadów poza lokalami wyborczymi, to mamy do czynienia z czymś niewiarygodnym.

Wągrowiec nerwowo zmienił pozycję na fotelu. To nie on miał uczestniczyć w tej rozmowie, ale po pierwszych przeciekach wyników szef jego macierzystego ugrupowania zaszył się głęboko i nie chciał publicznie pokazać. W ten sposób gorący kartofel wpadł w jego ręce.

– Chciałbym z całą mocą i stanowczością podkreślić...

– zaczął mówić. – Partia Liberalnych i pan premier osobiście co najmniej od dwóch tygodni alarmowali o próbach ingerencji służb obcych państw w przebieg kampanii wyborczej, ze szczególnym uwzględnieniem dezinformacji prowadzonej z wykorzystaniem sztucznej inteligencji.

– Kilka miesięcy temu Amerykanie nałożyli nawet sankcje na tak zwane ośrodki eksperckie powiązane z rosyjskim wywiadem wojskowym – wtrącił Mol.

– Niestety – poseł pokiwał gwałtownie głową – opozycja storpedowała nasze plany, aby takim hybrydowym atakom przeciwdziałać z równą mocą i stanowczością, jak nasi przyjaciele zza oceanu.

– Mówi pan o przyjaciółach, ale Aronowi Pyskowi, doradcy prezydenta Ronalda Gompa również zarzuca się nielegalny wpływ na przebieg wyborów – zauważył dziennikarz. – I to nie tylko w Polsce, także w Niemczech, Rumunii, we Francji i na Madagaskarze. – Wstrzymał na chwilę głos. – Czy wobec takich działań należałoby również podjąć jakieś działania? Oczywiście mam na myśli rząd pana premiera Krakowskiego.

– Nie chciałbym w tym miejscu wchodzić w kompetencje innych osób... Wie pan redaktor... – Wił się jak piskorz. – Musimy pamiętać, że Stany Zjednoczone

są naszym strategicznym partnerem politycznym i gospodarczym.

– Nie zmienia to faktu, iż Aron Pysk wpłynął na wynik wyborów w naszym kraju. Sam to zresztą przyznał w jednym z wywiadów.

Wągrowiec skłął w myślach premiera, przez którego musiał teraz tu siedzieć i robić z siebie przysłowiowego durnia.

– Chciałbym widzom Telewizji Publicznej przypomnieć jedną rzecz. – Poseł Liberalnych przyjął sprawdzoną taktykę: najlepszą obroną jest atak. – Już pół roku temu komisja do spraw badania wpływów rosyjskich alarmowała, że nasze państwo powinno zrobić o wiele więcej na polu przeciwdziałania dezinformacji stosowanej przez Rosję, która to dezinformacja ma już właściwie wymiar dezinformacji zorganizowanej i zinstytucjonalizowanej. Z powodu wolty naszego koalicjanta, który stanął ramię w ramię z opozycją totalną, nie udało się przyjąć stosownej ustawy.

– Panie pośle. – Mol uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było za grosz sympatii. – To ja przypomnę panu posłowi, że raport komisji ukazał się mniej więcej w tym samym czasie, w którym polskie służby namierzyły i zlikwidowały siatkę agentów szkolonych przez Rosjan, jak dokonywać podziałów na scenie politycznej w naszym kraju. Nadmienię, że dokonały tego służby nadzorowane przez waszego koalicjanta.

– Bardzo dobrze, że służby w tym przypadku stanęły na wysokości zadania. Ale potrzeba czegoś znacznie więcej. – Odbił piłeczkę. – Rząd musi zadbać o to, aby walka z dezinformacją płynącą do nas zza wschod-

niej granicy przybrała wymiar instytucjonalny. Trzeba to włożyć w ramy prawne. Do tego potrzeba ponadpartyjnego porozumienia. Na szczęście do drugiej tury jeszcze dwa tygodnie. Mamy czas, aby...

– Chwileczkę, panie pośle. – Prowadzący studio wyborcze przerwał mu gwałtownym ruchem otwartej dłoni.

Wągrowiec natychmiast przestał mówić. Czuł, że stało się coś ważnego.

– Szanowni państwo... – Mol odchrząknął nerwowo, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. – Zwracam się do naszych widzów i naszego szanownego gościa... Dotarły do nas właśnie pierwsze wyniki *late poll* z wybranych lokali wyborczych... – Przyłożył palce prawej dłoni do ucha, wciskając węł słuchawkę. – Nie... Nie rozumiem... – Był wyraźnie zbity z tropu. – Poczekajmy na grafikę... Halo?... – jęknął, patrząc wprost do kamery. – Czy mogę prosić o zaprezentowanie tej grafiki?!

Rozdział 10

18 maja 2025, Warszawa

Głowa Pawła Kichy zajmowała całą powierzchnię telewizora. Widział swój podgląd na odbiorniku ustawionym obok kamery, nie przeszkadzało mu to, wręcz przeciwnie, dzięki temu mógł na bieżąco kontrolować mimikę.

– Mamy zwycięzcę wyborów prezydenckich i to już w pierwszej turze! – Kicha cieszył się całym sobą. Zwy-

kle, gdy podczas programu na żywo zrobił coś, z czego był ogromnie zadowolony, starał się to w sobie tłamsić, ale dziś był tak szczęśliwy, że pozwolił sobie na chwilę beztroski na antenie.

Operator kamery przeszedł na dalszy plan.

– Drodzy widzowie Telewizji Prawicowej. – Kicha mówił już dostojnym tonem. – Za chwilę jako jedyne medium telewizyjne w tym kraju dostąpimy zaszczytu i połączymy się ze sztabem wyborczym niespodziewanego zwycięzcy wyborów... – Nagle zrobił pauzę. – Co ja mówię? Niespodziewanego? – Uśmiechnął się delikatnie. – Niespodziewany może dla zgrai lewaków i liberałów, którzy przez ostatnie tygodnie bezustannie atakowali swoich kontrkandydatów. – Przestał na chwilę mówić. – Prawdziwi patrioci i ludzie walczący z koalicją trzydziestego lutego o prawdziwą demokrację wierzyli od początku, że ten sen może się ziścić. Sen jak rodem z amerykańskiego USA!

Kamera zrobiła odjazd i widzowie mogli zobaczyć, jak Kicha przekłada nerwowo kartki leżące na blacie szklanego stołu.

– Mamy chwilowe problemy techniczne... – rzekł. – Bardzo państwa przepraszamy... Jeszcze moment... O! Już jest połączenie! – Ucieszył się.

Radość była jednak przedwczesna, jako że teraz na ekranie telewizorów ukazało się wewnątrz niewielkiego pomieszczenia bardziej przypominającego siedzibę klubu osiedlowego z późnych lat 80. ubiegłego wieku niż sztab wyborczy kandydata, który w sensacyjnych okolicznościach wygrał pierwszą turę. Panował w nim nerwowy rozgardiasz, paręnaście przebywających w nim

osób biegało nerwowo. Można było odnieść wrażenie, że żadna z nich nie wie, gdzie jest nowo wybrany prezydent elekt.

Chaos pokazywany przez kamerę trwał kilkadziesiąt sekund. W końcu, po nieznośnie długim oczekiwaniu, Kicha mógł zatryumfować, widząc, jak przed obiektywem pojawia się młody mężczyzna w nasuniętej na głowie czapeczce z daszkiem w biało-czerwonych barwach. Najpierw jedną ręką poprawił słuchawkę wciśniętą w ucho, drugą starannie przyczesał stojące włosy.

– Halo, czy się słyszymy?... Tak?... Świetnie! – Kicha sycił się chwilą własnego sukcesu, jakby to on był gwiazdą tego wieczoru. – Panie prezydencie elekcie, że się tak wyrażę. Najpierw proszę przyjąć gratulacje od telewizorów najchętniej oglądanej telewizji w Polsce.

– Dziękuję. – Marek Rabban miał 37 lat i nigdy nie był mistrzem elokwencji, dodatkowo stres potęgował też fakt, że ani on, ani nikt inny ze sztabu wyborczego nie przygotował się na taką ewentualność. – Dziękuję w imieniu partii Jedyni Patrioci.

– Jakie to uczucie wygrać z murowanymi faworytami i to już w pierwszej turze? – mówił prezenter dalej.

– Powiem tak... – Rabban jeszcze dobrze nie zaczął się wypowiadać, a znów zrobił pauzę.

Mimo że operator kamery zrezygnował ze zbliżenia i pokazywał teraz tylko plan ogólny, było widać, że mężczyzna ma ogromny problem z zebraniem myśli.

– Panie prezydencie elekcie... – Kicha postanowił przyjść rozmówcy z pomocą. – Jest pan zaskoczony?

– Jestem zaskoczony.

– Bardzo?

– Bardzo.

– Rozumiem, że jest pan szczęśliwy z powodu wyniku, jaki pan osiągnął? – Kicha był w żywiolo. – Przypomnę, że w historii wyborów prezydenckich, jakie odbyły się w Polsce po osiemdziesiątym dziewiątym roku nikt do tej pory nie wygrał w pierwszej turze.

Dziennikarz się mylił – odnotowano jeden taki przypadek, w dwutysięcznym roku, gdy reelekcję uzyskał w ten sposób Aleksander Kwaśniewski – ale nie było nikogo, kto by go teraz na wizji poprawił.

– Cieszę się. – To były jedyne słowa wypowiedziane przez Rabbana.

– Można prosić o trochę więcej z pańskiej strony, panie prezydencie elekcie?

– Cieszę się ze zwycięstwa demokracji.

Nagle w kadrze pojawiła się młoda dziewczyna – wyglądała na taką, która dowód osobisty miała od niedawna, jeśli w ogóle go posiadała – i wsunęła Rabbanowi do ręki zmiętą kartkę papieru.

Ten podniósł ją na wysokość oczu, przeczytał uważnie treść, po czym spojrział w obiektyw kamery.

– W tym miejscu chciałbym podziękować blisko dwunastu milionom wyborców, którzy dzisiejszego wieczoru oddali na mnie głos. – Rabban skończył mówić z pamięci. Przybliżył kartkę, zaczął czytać na głos. – Niniejszym zapraszam też partie opozycyjne do współpracy, szczególnie Sprawiedliwych, z którymi łączy nas miłość do naszej ojczyzny, jaką jest Polska. Razem z pewnością uda nam się odbić władzę sprawowaną obecnie przez ręce sługusów z Brukseli, Berlina i Paryża.

– Panie prezydencie elekcie. – Kicha wykorzystał moment, aby znów zaznaczyć swoją obecność. – W imieniu najchętniej oglądanej telewizji w Polsce jeszcze raz składam na pana ręce gratulacje. Czy...

– Jeszcze coś powiem. – Teraz to Rabban wszedł w zdanie prezenterowi. – Uczyńmy Polskę znów wielką!

Powiedziawszy to, mężczyzna od razu zaczął klaskać, nie zwracając uwagi na kartkę trzymaną wciąż w dłoni.

Za jego śladem poszli wszyscy obecni w pomieszczeniu.

Operator kamery wreszcie miał co robić.

– Uczyńmy Polskę znów wielką! – powtórzył Rabban. Ściągnął czapkę, zaczął nią wiwatować.

Chwilę później w telewizyjnym okienku pokazującym na żywo redakcję dało się widzieć bijącego brawa Kichę.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki.